

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1871.**

**Tom pierwszy.**

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

**1871.**





Дс. II. 1.

Дозволено Цензурою

Варшава 23 Декабря 1870 года

K 35/46

---

W drukarni Gazety Polskiej przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

# BEZ WYJŚCIA.

POWIEŚCI DICKENSA I COLLINSA

(Przekład z angielskiego).

PRZEZ

*St. B.*

---

## PROLOG.

### AKT I.

Zasłona się podnosi.  
Wchodzi gospodyni.  
Gospodyni mówi.  
Nowe postacie na scenie.  
Wychodzi Wilding.

### AKT II.

Vendale się kocha.  
Vendala spotyka nieszczęście.

### AKT III.

W dolinie.  
W górach.

### AKT IV.

Szczególny zamek.  
Zwycięstwo Obenreizera.  
Zasłona spada.

## PROLOG.

Było to trzydziestego listopada, roku Pańskiego tysiąc ośmset trzydziestego piątego.

W Londynie na wielkim zegarze świętego Pawła godzina dziesiąta wieczorem. Wszystkie pomniejsze zegary na kościołach Londynu natężają metalowe swe gardziółka. Niektóre szczebiotliwie uprzedzają ciężki dzwon katedralny; inne, spóźnione, bić zaczynają po trzecim, czwartym, lub szóstym jego uderzeniu; wszystkie zostają z sobą w zupełnej prawie zgodzie, śląc dźwięki swoje w powietrzne przestrze-

nie, jak gdyby skrzydlaty ojciec pożerający swe dzieci prze-  
latując po nad miastem, zabrzęczał nad niem olbrzymią swą  
kosą.

Jakiż to zegar niżej od innych umieszczony, bo dono-  
śniejszy, spóźnił się dzisiajszego wieczoru o tyle, że dźwięk  
jego samotnie rozbrzmiewa się w powietrzu? To zegar na  
Domu Podrzutków. Był czas, w którym podrzucane dziatki  
bez żadnej przyjmowała trudności umieszczona przy bramie  
kołyska. Dziś przedsiębiorą względem nich pewne poszuki-  
wania, jakby z łaski przyjmują je od matek wyrzekających  
się wszelkich o nich wiadomości i praw do swego dziecięcia.

Księżyc jest w pełni, i wśród świetnych jego promieni,  
srebrne na niebie snują się obłoczki. Dzień przeciwnie nie  
był wcale ładnym, bo czarne błoto kroplami opadającej  
mgły zwiększane, pokrywa ulice. Zakwefiona dama niespo-  
kojnie się przechadzająca nieopodal furtki Domu Podrzutków,  
dobrze się obuć była powinna na taką porę.

Chodzi szybko, tam i napowrót, unikając poblizkiej sta-  
cyi fiaków i często się zatrzymuje, twarzą ku bramie zwróco-  
na, w cieniu jaki rzuca zachodnia strona wielkiego w czworo-  
bok idącego muru. Po nad jęj głowę czystość księżycowego  
nieba a pod stopami błotnisty bruk miejski; tak też i w duszy  
jęj może, obok spokojnej rezygnacyi i nadziei — ponura roz-  
pacz panuje? Ślady stóp jęj utworzyły na błocie prawdziwy  
labirynt; może też i ścieżki jęj życia splątane w pogmatwany  
i nie do rozwiązania węzeł?

Furtka Domu Podrzutków otwiera się i wychodzi z nięj  
młoda kobieta. Dama stoi na boku, rozgląda się bacznie,  
a widząc że furtka już z wewnątrz zamknięta, idzie za młodą  
kobietą.

Dwie lub trzy ulice minęła, zanim postępując wciąż  
z blizka za przedmiotem nateżonej swęj uwagi, nie wyciągnę-  
ła ręki i nie dotknęła się go. Wtedy zatrzymała się młoda  
kobieta i spoglądając w około — zadrżała.

— Dotknęłaś się mnie pani przeszłego wieczoru, a gdy  
się obróciła, przemówić nie chciałaś. Czemu idziesz za mną  
jak widmo milcząca?

— Milczałam, nie dlatego abym mówić nie chciała, — ci-  
chym odpowiedziała głosem dama — ale że pomimo usiłowań  
przemówić nie byłam w stanie.



— Czego chcesz pani odemnie? Wszak nic ci złego nie zrobiłam nigdy?“

— Nic wcale.

— Czy znam cię?

— Nie.

— Czegóż więc żądać możesz odemnie?

— Oto dwie gwiney zawinięte w tym papierku. Przyjm ten mój dar ubogi, a opowiem ci moje żądanie.

Na twarz młodej kobiety uczciwą i skromną, występuje rumieniec gdy odpowiada. W obszernym zakładzie, w którym się znajduję, każdy, dorosły zarówno jak dziecię ma dla Sary dobre słowa. Nazywam się Sara. Czyżbym na nie zasługiwała, gdyby mię przekupić było można?

— Nie chcę cię przekupić, ale tylko wynagrodzić skromnie.

Sara grzecznie, ale stanowczo, odrzuca ofiarodawczą rękę.

— Gdybym coś mogła dla pani uczynić, a miała przyczynę odmówienia jęj prośbie, mylisz się pani bardzo jeżeli sądzisz, że zrobiłabym to za pieniądze. Jakież pani żądanie?

— Jesteś jedną z mamek lub usługujących w Domu Podrzutków, widziałam cię wychodzącą ztamtąd tej i przeszłej nocy.

— Nie inaczej: jestem Sara.

— Widzę łagodność i cierpliwość na twój twarzy, zkąd wnoszę, że dzieci prędko się do ciebie przyzwyczajają.

— Rzeczywiście; błogosław im Boże za to.

Dama podnosi woalkę i pokazuje oblicze nie starsze od oblicza mamki, a chociaż intelligentniejsze i delikatniejszych rysów, to jednak z widocznymi śladami cierpień i wzburzenia umysłu.

— Jestem występłą matką dziecięcia niedawno przez was przyjętego. Mam prośbę do ciebie.

Instynktownie szanując zaufanie okazane jęj przez podniesienie woalki, Sara, w której postępowaniu przeważała zawsze prostota i niewymuszoność, sama zapuszcza woalkę na twarz nieznanomęj z łez pełnemi oczyma.

— Wysłuchasz więc méj prośby? — nalegała dama. — Nie będziesz głuchą na rozpaczliwe błaganie złamanej boleścią matki?

— O biedna, droga pani, — zawoła Sara. — Cóż ci mam powiedzieć, albo raczej co ci powiedzieć mogę?... Nie mów

o prośbach; prośby zanosić tylko można do dobrotliwego Ojca wszystkich ludzi, ale nie do takiej jak ja mamki. Mam zostawać przy zakładzie przez pół jeszcze roku, dopóki nie wynajdę na swe miejsce innéj młodej i usposobionéj do podobnych zajęć kobiety. Mam wyjść za mąż. Nie powinna byłam wydaląć się z zakładu przeszłej, jak i dziś téj oto nocy, ale mój Dick, młody człowiek mający się ze mną ożenić, leży chory a ja pomagam jego matce w doglądaniu go i czuwaniu nad nim. Nie bierz mi tego za złe, kochana pani, proszę cię.

— O dobra, kochana Saro — zaszlochała dama chwytając z błagalnym gestem jéj suknię. Jak jesteś pełną nadziei a ja zrozpaczoną; jak przed tobą leży piękna i otwarta droga życia, dla mnie już na zawsze zamknięta; jak możesz zostać szanowaną, żoną i dumną matką; jak jesteś żyjącą i kochającą kobietą, a umrzeć kiedyś musisz: zaklinam cię na to wszystko, przez litość, wysłuchaj błagalnéj méj prośby.

— Droga, kochana moja pani, — woła Sara z coraz większą rozpaczą w głosie, — cóż więc mam począć teraz? Własne moje wyrazy przeciwko mnie zwracasz. Powiedziałam pani, że za mąż idę, a przez to chciałam ci dać do zrozumienia, że opuścić będę musiała twe biédne dziecię, a tém samém, że pomocną ci być nie będę mogła; pani zaś każesz mi wierzyć, że idąc za mąż popełniam względem niéj okrucieństwo, że jestem dla niéj bez litości, a to nie dobrze. Wszak prawda biédna pani?

— Posłuchaj mię kochana Saro! Prośba moja nie odnosi się do przyszłości ale raczéj do przeszłości mego dziecięcia. Zawiera się w dwóch tylko słowach.

— Tak! więc coraz gorzéj, rzecze Sara — domyślałam się bowiem ich znaczenia.

— W saméj rzeczy. Powiedz mi jakie imie dali biédnemu mojemu dziecięciu? o nic więcéj się nie pytam. Czytałam o zwyczajach jakie w Domu dla Podrzutków zachowują; ochrzczono je w kaplicy, zapisano do księgi pod nadaném mu nazwiskiem. Przyjęto dziecię moje w przeszły poniedziałek: jakież mu nadali nazwisko?

Dama w namiętnéj swéj prośbie chce paść na kolana wśród cuchnącego błota pustéj i bez wyjścia uliczki biegną-

cój po pod ciemnym ogrodem Domu Podrzutków; ale Sara zapobiega temu.

— Nie czyn tego, pani! Chcesz chyba abym myślała, że dotąd złą byłam, a dobrą stawać się dopiero zaczynam. Pozwól mi jeszcze spojrzeć w piękne two oblicze. Daj mi obie ręce i przyrzecz, że się mnie o nic więcej nie zapytasz jak tylko o te dwa słowa?

— Przyrzekam ci to, przyrzekam!

— Nie zrobisz z nich pani złego użytku, jeżeli je powiem?

— Nigdy, nigdy!

— A więc: Walter Wilding.

Dama skłania głowę na piersi piastunki, obejmuje ją w serdecznym uścisku, szepcze błogosławieństwo i słowa: „Ucałuj go odemnie,” i znika.

Było to pierwszej niedzieli październikowej, tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku. W Londynie na wielkim zegarze u świętego Pawła godzina w pół do drugiej po południu. Zegar na Domu Podrzutków dnia tego w zgodzie zupełnej z katedralnym. Już po nabożeństwie w kaplicy i dzieci znajdują się przy obiedzie.

Wielu ciekawych widzów obecnych jest, jak zawsze obiadowi. Jest tam dwóch czy trzech dostojników, całe rodziny do stowarzyszenia utrzymującego Dom Podrzutków należące, mniejsze kółko obojęd płci, wreszcie pojedyncze osoby różnego rodzaju. Jasne jesienne słońce wesoło przyświecało podrzutkom; ciężkiej budowy okna i ściany drzewem wykładane, przez które padają jego promienie są takie, jakie zwykle w obrazach Hogartha widzujemy. Sala dla dziewcząt, a zarazem i dla młodszych dzieci główną na siebie zwraca uwagę. Schludnie przybrana służba milcząco przesuwa się obok porządných i równie milczącemi biesiadnikami otoczonych stołów. Zwiedzający zakład chodzą lub zatrzymują się wedle upodobania, robią uwagi nad niektórymi dziećmi, bo zdarzają się między temi ostatniemi takie, które szczególniejszą na siebie zwracają uwagę. Niektórzy ze zwiedzających zakład są codziennemi w nim prawie gośćmi; ci zawiązali zna-



jomość z małymi wychowankami, zatrzymują się przy nich i zamieniają słów parę. Że zwykle z temi rozmawiają do których czują osobisty jakiś a dla nich może tylko zrozumiały pociąg, nie uwłaszcza to bynajmniej ich uprzejmości jaką przez rozmawianie z wychowankami okazują. Monotonność długich i obszernych pokojów i podwójnych rzędów twarzy, przyjemnie ożywiona bywa przez te, chociaż tak małoznaczne wydarzenia.

Zakwefiona dama sama jedna przechadza się wśród publiczności. Zdawałoby się, że ani ciekawość, ani potrzeba żadna nigdy jej tu przedtem nie sprowadzały. Wygląda trochę pomieszana widokiem ją otaczającym; wachajaco i niespokojnym krokiem długie obchodzi stoły. Wchodzi nareszcie do sali chłopców. Sala ta o tyle mniej jest od sali dziewcząt zwiedzana, że w tej właśnie chwili kiedy do niej zagląda, ogołoconą jest z publiczności. Zaraz za progiem spotyka dozorującą starszą kobietę, prawdopodobnie ochmistrzynią. Dama zadaje jej zwykłe pytania jakoto: Ilu jest chłopców? W jakim wieku w świat ich wypuszczają? Czy często zdarza się między niemi chęć zostania marynarzem? I tak coraz cichszym głosem, iż nareszcie pyta się: który z nich jest Walter Wilding.

Dozorczyni potrząsa odmownie głową, pytanie sprzeciwia się przepisom.

— Pani wiesz który z nich nazywa się Walter Wilding?

Czując skierowany na siebie bystry i badawczy wzrok damy, dozorczyni spuszcza oczy w ziemię bojąc się aby jej nie zdradziły.

— Wiem, pani, który z nich jest Walterem Wilding, ale niewolno podobnych rzeczy mówić zwiedzającemu zakład.

— Możesz go jednak pani wskazać, nie mówiąc nic.

Ręka damy zbliża się do ręki dozorczyni i cicho ją ścisła. Przerwa w rozmowie i milczenie.

— Mam właśnie obchodzić stoły, rzecze dozorczyni, nie zwracając się napozór w mowie do damy. Patrz pani za mną uważnie. Chłopiec przy którym się zatrzymam i do którego mówić zacząć nie będzie obchodzić jej wcale, lecz chłopiec którego dotknę się ramienia, będzie Walterem Wilding.

Proszę nic więcej nie mówić do mnie i posunąć się w głąb salitrochę.

Chętnie idąc za daną wskazówką, przechadza się dama po sali, spoglądając w około. Po pewnej chwili, dozorczy-ni poważnie i urzędowo, obchodząc zaczyna szereg stołów, zaczynając od lewej ręki, obszedłszy zaś jedną jego stronę, zwraca się i idzie po drugiej. Nieznacznie spojrzawszy w stronę damy, zatrzymuje się, pochyla i zaczyna mówić. Chłopiec, do którego mówi podnosi głowę i odpowiada. Ona łagodnie i spokojnie słuchając odpowiedzi, kładzie rękę na ramieniu siedzącego tuż obok po prawej stronie chłopczyka. Ażeby ruch ten dobrze mógł być zauważany, zatrzymuje rękę na ramieniu, odpowiadając z kolei chłopcu, i przed zdjęciem jej uderza nią z lekka dwa lub trzy razy. Następnie kończy swój przegląd stołów, nie zatrzymując się nigdzie więcej i wychodzi drzwiami na drugim końcu sali znajdującymi się.

Obiad się skończył i dama także posuwa się wzdłuż stołów po lewej ich stronie, a potem zwraca się i idzie po drugiej. Inne osoby szczęśliwym dla niej trafem weszły w tej chwili i rozproszyły się naokoło. Podnosi zasłonę i zatrzymując się przy chłopcu, którego doknęła się ręką dozorczyni, zapytuje go ile ma lat?

— Dwanaście, proszę pani, — odpowiada tenże wlepiając w nią jasne swe oczy.

— Czy ci tu dobrze, jestżeś ze wszystkiego kontent?

— O tak, pani.

— Czy przyjmiesz odemnie tę trochę przysmaczków?

— Jeżeli pani będzie tak łaskawą dać mi je.

Schylając się w tym celu dama, dotyka się czołem i włosami twarzyczki dziecka, a potem zapuściwszy na twarz woalkę, idzie dalej i wychodzi nie obejrzawszy się za siebie.

## AKT I.

Zasłona się podnosi.

W Londyńskiej City, w dziedzińcu po którym swobodnie powozy i piesi kursować mogą a graniczącym ze spadzi-

sta, brudną i krętą uliczką łączącą ulicę Tower z brzegiem Tamizy Middlesex, znajdował się dom handlowy win Wildinga i Spółki. Jako żartobliwa zapewne przestroga o niedo-  
godnościach tej głównej komunikacji, niższa część uliczki opierająca się o rzekę, jeżeli ją tak wbrew jej woni nazwać się godzi, a przy której wylądowywano, nosiła nazwę Break-neck-stairs, to jest: schody do złamania karku. Ze swój znów strony dziedziniec w dawnych już czasach nazwany został malowniczo Cripple-Corner, to jest Kulawym zaułkiem.

Na wiele lat przed rokiem tysiąc ośmset sześćdziesiątym pierwszym, ludzie przestali lądować przy Break-neck-stairs, a przewoźnicy tam przewozić. Mała błotnista tama w powolnym procesie samobójstwa obsunęła się w rzekę, a trochę szczątków słupów i zardzewiałe żelazne kółko do przywiązywania łódek, oto wszystko co pozostało z minionej sławy Break-neck-stairs'u. Czasami wprawdzie pokazuje się łódź węglem naładowana, zjawiają się pracownicy tragarze jakby w mule zrodzeni, przenoszą ładunek na brzeg, odbijają i znikają z przed oczu; po największej jednak części cały handel przewozowy polega tu na transporcie beczulek i flaszek, napełnionych winem lub próżnych, do piwnic lub z piwnic kupców Wilding i Sp. Ale i ten rodzaj handlu niezawsze miał miejsce i przez trzy czwarte swego przypływu, rzeka, ta plugawa i bezwstydną wszetecznicą, samotnie przeciekała przez żelazne kółka; jak gdyby słysząc opowiadania o doży i Adryatyku pragnęła zawrzeć małżeńskie śluby z wielkim protektorem jej nieczystości, Wielce Szanownym Lordem Mayorem.

O jakie dwieście pięćdziesiąt łokci angielskich na prawo, na przeciwległym wzgórku, idąc z dołu od Break-neck-stairs, znajdował się Cripple Corner. W Cripple Corner rośło drzewo, w Cripple Corner była studnia. Cały Cripple Corner należał do kupców win Wilding i Sp. We wnętrzu jego były ich piwnice, na powierzchni wznosił się ich dom mieszkalny. Był to rzeczywiście dwór, w czasach gdy kupcy zamieszkiwali jeszcze City; nad wchodowymi drzwiami niezbędny wisił daszek, poważny ceglany front domu opatrzonny był licznymi bardzo, wązkimi a wysokimi oknami, które formą swą grzeszyły przeciwko wszelkim zasadom symetrii.



Na dachu piętrzyła się kopuła z zawieszonym wewnątrz niej dzwonkiem.

„Kiedy człowiek w dwudziestym piątym roku życia może włożyć kapelusz na głowę i powiedzieć: „Kapelusz ten przykrywa głowę właściciela téj nieruchomości i interesów w niej się załatwiających; zdaje mi się, panie Bintrey, że takiemu człowiekowi wolno być jeżeli nie dumnym, to przynajmniej pełnym wdzięczności. Nie wiem jak się to panu wydaje, mnie jednak tak się to wydaje”.

Tak mówił w kantorze pan Walter Wilding do swego prawnego doradcy, zdejmując kapelusz z kołka, aby tym sposobem słowa swe z czynem złączyć i zawieszając go na powrót, aby nie przekroczyć granic wrodzonej sobie skromności.

Pan Walter Wilding był to sobie dobrodusznym, otwartym i niezwyklej powierzchowności młody człowiek, z twarzą białą i mocno wypieczonemi na policzkach rumieńcami, a chociaż dobrego wzrostu, zbyt pełnej jak na młodego człowieka figury. Ma ciemne kędzierzawe włosy i jasne niebieskie oczy. Jestto człowiek towarzyski, człowiek u którego wielomówność jest niczem niepowstrzymaném wynurzeniem ukontentowania i wdzięczności. Pan Bintrey przeciwnie, jestto ostrożnego, przebiegłego charakteru człowiek, z wypukłemi wiecznie w ruchu oczkami, w zwieszonéj na piersi dużej łyséj głowie; człowiek który rad się bawił koniecznością szczerości w mowie, czynach lub uczuciach.

— Tak—rzekł pan Bintrey. Tak, ha, ha!

Przed rozmawiającymi, na biórku stała karafka, dwa kieliszki i taléř z biszkoptami.

— Smakuje panu ten czterdziestopięcioletni portwejn? — zapytał pan Wilding.

— Czy mi smakuje—powtórzył pan Bintrey. O! i bardzo nawet.

— Jestto najlepsze wino z całej piwnicy, w której najstarsze przechowywam wina.

— Dziękuję panu, jest téż w istocie wyborne.

I zaśmiał się, podnosząc do światła kieliszek i mrugając doń miłośnie, na samą wysoce śmiesznią myśl częstowania znajomych tak drogiém winem.



— A teraz—rzekł Wilding—okazując dziecinne prawię zadowolenie przy roztrząsaniu interesów—zdaje mi się żeśmy przyszedli prosto do celu, panie Bintrey.

— Prosto do celu—rzekł Bintrey.

— Zapewniliśmy sobie współnika.

— Zapewniliśmy—rzekł Bintrey.

— Porobiliśmy ogłoszenia o gospodynią.

— Porobiliśmy ogłoszenia—rzekł Bintrey—zgłaszać się osobiście do Cripple Corner, Great Tower street, od dziesiątej do dwunastej.

— Interesa mojej drogiej matki ukończone.

— Ukończone—rzekł Bintrey.

— I wszystkie koszta zapłacone.

— I wszystkie koszta zapłacone—rzekł Bintrey ze czkawką, spowodowaną zapewne przez zabawną okoliczność, że zapłacono je bez żadnego targu.

— Wspomnienie kochanej mej nieboszki matki—ciągnął dalej pan Wilding mając oczy łez pełne i osuszając je chustką, rozczuła mię zawsze.

Pan wiész jak ją kochałem; pan (jój prawnik) wiész jak mię ona kochała. Między nami istniała najczulsza miłość matki i syna; nie rozłączaliśmy się nigdy, ani doświadczyli najmniejszego nieukontentowania od czasu kiedy mię wzięła pod swą opiekę. Wszystkiego trzynaście lat temu! Przez lat trzynaście pod pieczę ukochanej nieboszki matki, a z tych ośm lat jój synem, poufnie uznanym synem! Znasz pan te okoliczności panie Bintrey, i to lepij jak ktokolwiek inny.

Mówiąc to płakał pan Wilding i obcierał łzy bezustanku, niestarájąc się z niemi ukrywać.

Pan Bintrey napawał się widokiem komicznój jego postaci, w końcu rzekł: „Wiem to wszystko”.

— Moja kochana nieboszka matka — ciągnął dalej kupiec win—boleśnie zwiedzioną została i dużo cierpień poniosła. Ale droga moja matka wieczne co do tego zachowała milczenie. Przez kogo zwiedzioną była i w jakich okolicznościach, niebu to tylko wiadomo. Kochana moja s. p. matka nigdy nie zdradziła swego uwodziciela.

— Tak sobie postanowiła—rzekł pan Bintrey—i dla tego żyła w spokoju. Żartobliwe mrugnięcie miało mówić: nieco spokojniej od ciebie.

— Czcij ojca twego i matkę swoją, aby dni twe były długie na ziemi—łkając zacytował pan Wilding z Dziesięciorga przykazań. Kiedyś był w domu podrzutków, nie wiedziałem jak to wypełniać należy i dlatego obawiałem się czy długo żyć będę na ziemi. Ale później cześć zacząłem głęboko moją matkę. Cześć i szanuję jej pamięć—ciągnął dalej Wilding z tém samém w piersiach nieutuloném łkaniem. Przed siedmioma laty matka moja zapisała mię jako ucznia w domu handlowym moich poprzedników Pebbleson i siostrzeńcy. W przecznej dla mnie miłości swój, umieściła mię następnie dla nauki u Vintnera a z czasem uczyniła mię jego współnikiem i... i... świadczyła mi wiele dobrodziejstw, jakie tylko najlepsza z matek świadczyć jest w stanie. Gdy przyszedł do lat, zapisała mi należną jej z téj spółki część kapitału; za jej to pieniądze nabyłem zakład: „Pebbleson siostrzeńcy” i nadałem mu firmę: „Wilding i spółka”; onato zapisała mi wszystko co tylko posiadała, z wyjątkiem pierścionka żałobnego, który pan jako pamiątkę od niej na palcu nosisz. A teraz nie ma jej już,—zawołał Wilding z mocnym wybuchem uczciwego przywiązania. Jest już trochę więcej jak półroku od czasu gdy przyszła na Cripple Corner, aby własnemi oczyma przeczytać nad drzwiami napis: „Wilding i Sp. kupcy win”. A teraz już jej nie ma!

— Jestto smutny lecz wspólny los wszystkich ludzi—zauważył Bintrey. Dziś czy jutro zawsze umrzeć musimy. To mówiąc poddał czterdziestopięcioletni portwejn ogólnemu losowi, odetchnąwszy następnie z zadowoleniem.

— Teraz, panie Bintrey—ciągnął dalej Wilding chowając chustkę i gładząc dłonią powieki—teraz kiedy nie mogę już dłużej okazywać méj czei i synowskiego przywiązania matce, do której instynktownie zwróciło się serce moje, gdy jako nieznajoma dama piérwszy raz przemówiła do mnie siedzącego w pewną niedzielę przy obiedzie w domu podrzutków, mogę przynajmniej pokazać że nie wstydę się iż byłem kiedyś podrzutkiem i że nie znając własnego ojca, chcę być ojcem dla moich podwładnych. Dlatego—mówił dalej Wilding, zapalając się coraz bardziej—potrzebuję odpowiadającej wszelkim warunkom dobrej gospodyni do zarządu domem i gospodarstwem mojego zakładu, tak, ażeby mógł przywrócić dawne stosunki między zwierzchnikami a pod-

władnymi. Tak abym mógł żyć w tém miejscu, w którym pieniądze robię, siedzieć codziennie u stołu wraz z moimi podwładnymi; jeść te same co i oni potrawy, takie same pić piwo, mieszkać z nimi pod jednym dachem. Tak abyśmy wszyscy razem, przepraszam cię panie Bintrey, ale dawny mój szum w głowie znowu mię napadł, i będę ci obowiązany jeżeli mię do studni zaprowadzisz.

Przerażony nadzwyczajną czerwonością swego klienta, pan Bintrey nie tracąc czasu prowadzi go na podwórze. Ła-two to mógł uczynić, kantor bowiem w którym się znajdowali, wychodził jedną stroną na dziedziniec. Tam na znak dany przez klienta, adwokat gorliwie jął pompować wodę, a klient umył sobie twarz, zlał głowę wodą i pociągnął tęgi łyk studziennego napoju. Po użyciu tych środków oświadczył, że mu jest daleko lepiej.

— Nie daj się pan zbytecznie unosić szlachetnym uczuciom—rzekł Bintrey za powrotem do kancelarii, podczas gdy Wilding obcierał się ręcznikiem w sąsiednim pokoju.

— Nie zrobię już tego więcej, nie zrobię—odrzekł wyzieraając z pod ręcznika. Czy nie mówiłem od rzeczy przy-padkiem?

— Przeciwnie, mówiłeś pan wcale rozsądnie.

— Na czém stanąłem, panie Bintrey?

— Stałeś pan na... ale gdybym był na pańskim miejscu i pańskiego usposobienia, nie rozdrażniałbym się więcej opowiadaniem i to w tej jeszcze chwili.

— Będę uważnym, zaręczam. Ale kiedy to przyszedł ów szum w głowie, panie Bintrey?

— Kiedyś pan mówił o obiadach i piwie—odrzekł z pośpiechem adwokat—o wspólném mieszkaniu, o tém gdy wszyscy razem...

— Aha! wszyscy razem śpiewać będą chórem, i wszyscy...

— Wiész pan co, że będąc pańskiego usposobienia *nie dalbym* się unosić szlachetnym uczuciom, które go tak wzruszają—niepokojnie napomknął znów prawnik. Sprobujmy jeszcze studziennęj wody.

— Nie ma potrzeby, panie Bintrey; czuję się dobrze zupełnie. I wszyscy razem tworzyć będziemy jedną rodzinę! Bo jak wiesz, panie Bintrey, w dziecinnych już latach przyzwyczajałem się do towarzystwa moich towarzyszków i ró-



wienników; kiedy przeciwnie: wszyscy prawie ludzie wiek ten spędzają w odosobnieniu od równych sobie latami dzieci. Później zabsorbowała mnie miłość dla drogiej méj matki. Utraciwszy ją bezpowrotnie czuję się być sposobniejszym do tworzenia części jakiegoś zbiorowego ciała, aniżeli do całkiem odosobnionego życia. Wykonywać obowiązki moralne względem podwładnych moich zaciągnięte, przywiązać ich do siebie; takie życie patryarchalne ma dla mnie urok szczególny. Nie wiem jak się to panu zdaje, panie Bintrey, mnie się to jednak tak wydaje.

— Nic tu odemnie nie zawisło, lecz wszystko od woli pana—odrzekł pan Bintrey. Ztąd i opinia moja w tym względzie małej jest bardzo wagi.

— *Mnie* się to wydaje—rzekł pan Wilding z zapalem—pełnem dobrych następstw, użyteczném roz... koszném!

— Wiész pan co, jednak—zauważył znów adwokat—będąc na pana miejscu nie unosiłbym się tak bardzo.

— Ja się téż nie unoszę. Weźmiemy wtedy Haendla.

— Kogo takiego?—zapytał Bintrey.

— Haendla, Mozarta, Haydna, Purcella, Kenta, Dr. Arne, Greena, Mendelsohna. Znam na pamięć śpiew chóralny do tych hymnów; jest on w zbiorze śpiewów w kaplicy domu podrzutków. Dlaczegoż nie mielibyśmy się ich razem uczyć?

— Któż się ma tego uczyć?—zapytał trochę cierpko adwokat.

— Zwierzchnicy i podwładni.

— No, no!—odrzekł udobruchany już adwokat, który się obawiał usłyszeć swego nazwiska. To co innego.

— Nie to innego—rzekł pan Bintrey—jestto bowiem jedna z form tylko w których się nasz związek wyrażać będzie. Złożymy chóry w jakim ustronnym blizkim kościełku, a prześpiewawszy z zadowoleniem nasze pieśni, wrócimy razem do domu, i z gustem spożyjemy wczesny obiad. Teraz zaprzątam się głównie myśla, aby plan ten jak najspieszniej w wykonanie wprowadzić, tak ażeby mój współnik nowy zastał już zwyczaj ten ustalonym.

— Niechaj się wszystko jak najlepiej powiedzie!—zawołał Bintrey wstając. Życzę powodzenia! Ale czy i Joey Ladle weźmie udział w wykonywaniu utworów Haendla, Mo-



zarta, Haydna, Kenta, Purcella, doktora Arne, Greena i Mendelsohna?

— Tak się spodziewam.

— Życzę więc wszystkim aby się jak najlepiej wywiązali ze swego zadania—odrzekł Bintrey z wielką serdecznością. Do widzenia z panem.

Pożegnali się ściśnięciem ręki. Wtedy drzwiami prowadzącymi z kantoru do bióra w którym pracowali subjecci, zapukawszy w nie poprzednio, wchodzi naczelny piwniczny Wildinga i spółki kupców win, piastujący niegdyś taką samą godność u Pebbleson siostrzeńców: Józef Ladle, zwany pieściotliwie Joey Ladle, a o którym właśnie była mowa. Powolny i ociężały jak parobek od piwowara, stanowiący odrębny typ w budowie ludzkiego ciała, w pofałdowanym ubraniu i fartuchu zachodzącym pod samą brodę, mający w sobie wiele podobnego do słomianki i skóry nosorożca zarazem.

— Przepadłem względem tego stołowania i mieszkania, młody panie pryncypale—rzekł piwniczny.

— Czegoż chcesz, Joey?

— Mówiąc w swoim tylko imieniu, młody mój pryncypale, bo nigdy nie miałem ani nie mam zwyczaju odzywać się za innych, niepotrzebuję ani stołowania mnie, ani wspólnego mieszkania. Lecz jeśli sobie pan życzy tego koniecznie, niechaj pan robi co mu się podoba. Uprzedzam tylko że nie jestem zbyt towarzyskim i zgodnym, i że nie ma dla mnie człowieka którego bym wygraść nie potrafił. Czy wszystko ma mieszkać w tym domu? Oba inni piwniczowie, obydwaj odźwierni, uczniowie i wszyscy inni?

— Tak jest, spodziewam się że wszyscy stanowią będziemy jedną połączoną rodzinę. Nieprawdaż Joey?

— No tak! spodziewam się że stanowią będą jedną rodzinę.

— Będą? powiedz raczej Joey, że będziemy.

Joey Ladle potrząsnął przecząco głową. Nie spodziewaj się tego po mnie, młody pryncypale, wiek mój i okoliczności wyrobiły we mnie inne zupełnie usposobienie. Nie raz gdy Pebbleson siostrzeńcy mówili do mnie: „Przybierz weselszą minę Joey” odpowiadałem im: „Dla was dżentlemani, którzy przyzwyczajeni jesteście wprowadzać wino do



swego organizmu za pośrednictwem zwykłego środka komunikacyjnego, to jest waszego gardła, stosownie jest być wesółymi i bardziej ożywionemi; ja jednak przyzwyczajony jestem spijać *moje* wino porami skóry, a taki sposób używania wina inaczej wcale skutkuje. Przygniata człowieka do ziemi i humor mu odbiera. Inna to rzecz, dżentlmeni, mawiałem do Pebbleson Siostrzeńcy, napełniać szklanki winem przy obiedzie, wpośród wiwatów i licznej, ochoczej kompanii; a inna zupełnie samemu się winem napełniać wciągając je porami w niskiej, ciemnej piwnicy i stęchłej atmosferze. Całe życie moje byłem piwnicznym oddanym zupełnie moim zatrudnieniom. Cóż z tego za następstwa? Oto jestem ciągle podchmielony, tak jak żaden inny żyjący człowiek, a przytem jestem *melancholicznego* usposobienia. Śpiewać up.: Napełnij piękny ten puchar, każda kropla którą sączysz, po nad czołem troska wisi; precz ze smutkiem i starością! Tak, to jeszcze możliwe. Ale spróbuj pan wciągać wino porami w podziemnym lochu, kiedy i tak już masz tego wina do syta.

— Przykro mi, Joe, słyszeć cię tak mówiącego. Myślałem że należęć będziesz do naszych śpiewów zbiorowych.

— Ja, panie? Nie, nigdy! Wciągać porami *armonią* to już byłoby za wiele. Wszakże rozporządzaj pan mną według swojej woli. Słowo pańskie jest dla mnie prawem. Czy prawda, że pan pryncypał jest w trakcie przypuszczenia do spółki nowego spółnika Jerzego Vendala?

— Tak jest, w samej rzeczy.

— I znów nowe zmiany! Niechże pan przynajmniej nazwy firmy nie zmienia. I tak dosyć tego że się pan już raz na: Wilding i spółka zmieniał. Daleko lepiej było zostawić dawne: Pebbleson i Siostrzeńcy, do którego już szczęście przywiązane było. Nienależy odmieniać szczęścia, skoro dawne jest dobre.

— Ja też firmy zmieniać nie myślę.

— Cieszę się mocno z tego; a teraz upadam do nóg, młody panie pryncypale. Lepiej było jednakże wcale pierwszej firmy niezmieniać—mruczał pod nosem Joey Ladle drzwi za sobą zamykając i kręcąc głową;—lepiej iść za dawnym szczęściem, aniżeli nowemu drogę zabiegać.

## Wchodzi gospodyni.

Nazajutrz rano siedział Wilding w jadalnym pokoju, oczekując zgłaszających się kandydatów na wakującą w jego domu posadę. Była to staroświecka komnata z futrowaniem na ścianach; każdą taflę ozdabiały rznięte w drzewie girlandy kwiatów; dębową podłogę pokrywał dobrze już zniszczony perski kobierzec, a w około stały mahoniowe meble, pamiętające jeszcze czasy Pebblesów i siostrzeńców. Duży kredens obecnym był nie jednej urzędowej biesiadzie, wydanęj przez Pebblesa i siostrzeńców dla kupców z którymi łączyły ich handlowe stosunki; kierowali się bowiem przysłowiem: „rzucaj w wodę sardynki a złowisz wieloryba;” ogromny trójkątnego kształtu kominek, służący za dawnych czasów do odgrzewania półmisków, umieszczony był nad małym w kształcie sarkofagu schowaniem, w którym pomieścić się mógł wygodnie nie jeden tuzin butelek. Ale małego wzrostu i okrągłutki, harcapem opatrzony stary kawaler, którego portret wisiał nad kredensem, a który mógł być tak dobrze Pebblesonem, jak i siostrzeńcem, pod prawdziwym już spoczywał sarkofagiem, a kominek tak był zimny jak i dawny jego właściciel. Czarne i złożone gryfy podpierające świecznik, z czarnemi na złożonych łańcuszkach gałkami w dziobach, smutno dźwigać się zdawały swoje łańcuchy i zapytywać: czy przez tak długi przeciąg czasu na wolność sobie nie zarobiły?

Letni, piękny poranek jak Kolumb jaki, odkrył wreszcie Cripple Corner. Potok światła wszedł przez otwarte okna i oświecił portret kobiety, zawieszony nad kominkiem, a stanowiący drugą ozdobę ścian jadalnej sali.

— Powiesiłem w tém miejscu portret mój matki, w dwudziestym piątym roku jej życia, ażeby wszyscy odwiedzający mnie podziwiać ją mogli w kwiecie wieku i piękności—rzekł do siebie pan Wilding, z zachwyceniem spoglądając na oświecony słońcem portret. Wizerunek mój matki w pięćdziesiątym roku życia zawiesiłem we własnym moim pokoju jako świętą dla mnie pamiątkę. Czy to ty jesteś Jarvis?

Słowa te stosowały się do subiekta, który lekko do drzwi zapukawszy, teraz przez nie zagłądał.



— Tak, panie. Chciałem tylko przypomnieć, że już po dziesiątej, i że kilka kobiet czeka w kantorze.

— Jakto, kochanku—zawołał nasz kupiec z mocnym na coraz bledszej twarzy rumieńcem—czyż ich jest aż kilka? Najlepiej zrobię, jeśli zacznę ich przegląd zanim więcej przybędzie. Będę z nimi rozmawiał po kolei, Jarvisie, w takim porządku w jakim przyszły.

Pan Wilding szybko usiadł w fotelu zasłonięty stołem i stojącym tam ogromnym kałamarzem, i tak zabezpieczony, przysunawszy wprzód po drugiej stronie stołu krzesło dla kandydatek, nie bez pewnego drżenia przystąpił do swego zadania.

Przechodził on jakby przez różgi, nieuniknione w takim położeniu. Były tam zapewne w kantorze dwojakiego rodzaju kobiety: strasznie antypatyczne i niebezpiecznie sympatyczne. Były tam zapewne wdowy-korsarze, czyhające na mężów jak na zdobycz jaką; wyobrażał się już w ich mocy, trzymanym energicznie w ręku jak parasolki, z którymi właśnie te panie przyszły. Były też zapewne smukłe i szczupłe jak wieżyce panny, lepsze pamiętające czasy; które uzbrojone świadectwami księży, stwierdzającemi teologiczne ich wiadomości, przychodziły doń jak gdyby był św. Piotrem z kluczami od nieba w ręku. Były tam ładne i fertyczne panienki pragnące go mieć za małżonka; były zapewne weteranki którym nie tyle chodziło o wynagrodzenie, jak o wygody prywatnego szpitala, który w domu jego spodziewały się znaleźć. I gospodynie z professyi, które jak dymisyonowani oficerowie, chciałyby narzucać mu swoje zwyczaje, zamiast się poddać zaprowadzonemu w domu porządkowi; i wreszcie czułe istoty zalewające się łzami za każdym uczynionem im zapytaniem i potrzebujące kilka szklanek zimnej wody dla przyjścia do siebie. Były tam zapewne i dwie kandydatki: jedna bardzo obiecująca, druga wcale nieobiecująca; z tych pierwsza na zadawane sobie pytania wybornie i jak można najbardziej zadawałnając odpowiadała, aż wreszcie dowiadywano się że nie była wcale kandydatką, ale tylko przyjaciółką owęj nieobiecującej powierzchowności towarzyszki, która przez cały czas rozmowy milczała tylko oblewając się rumieńcem.



Wreszcie kiedy już biednego naszego kupca odstąpiła odwaga, weszła do pokoju kandydatka zupełnie różna od tych wszystkich jakie przez chwilę oczekiwania trapiły jego wyobraźnię. Kobieta ta, mająca zapewne około pięćdziesięciu lat wieku, chociaż na tyle nie wyglądała, zwracała na siebie uwagę łagodnym i wesołym wejrzeniem zarazem, a przymioty te i w obejściu jej spostrzedz się dawały. Ubranie jej skromne a pełne smaku nic do życzenia nie pozostawiało. Nic nie było do zarzucenia ruchom jej, w których widocznie przebijało się panowanie nad sobą. W zgodzie z harmonijną tą całością był i głos jej, kiedy na pytanie: „Z kim mam przyjemność mówić?” odpowiedziała: „Nazywam się Sara Goldstraw; jestem wdową, mąż mój bowiem odumarł mnie bezdzietną przed wielu już laty.“

Pół tuzina odpowiedzi nie byłoby w stanie tak zaspokoić ciekawości, jak ta skromna jej odpowiedź. Głos jej tak przyjemne zrobił na Wildingu wrażenie, iż dłużej aniżeli było potrzeba robił swoją notatkę. Kiedy na nią spojrział, wzrok pani Goldstraw obiegnął już pokój dokoła i z komina przeniósł się znowu na niego. Można w nim było wyczytać szczerą gotowość do odpowiadania otwarcie na czynione zapytania.

— Wybaczy pani że jej zadam kilka pytań?—zapytał skromny nasz kupiec.

— Niezawodnie. Wszak w tym tylko przybyłam celu, aby udzielić objaśnień o mej osobie.

— Czyś pani spełniała poprzednio obowiązki gospodyni?

— Raz tylko. Mieszkałam z jedną wdową przez lat dwanaście od czasu kiedy męża straciłam. Wdowa ta słabowitego była zdrowia i niedawno temu umarła; i to jest powodem że noszę teraz żałobę.

— Nie wątpię, że pozostawiła pani jak najlepsze świadectwa?—rzekł pan Wilding.

— Zdaje mi się, iż powiedzieć mogę że najlepsze. Zapisując na tej oto karteczce nazwiska i zamieszkanie jej spadkobierców i przynosząc ją z sobą, miałam na myśli oszczędzenie panu trudów w zasięganiu o mnie wiadomości.

Przy tych słowach położyła kartkę na stole.

— Pani mi dziwnie przypominasz głos i obejście się czyjeś, kogo znać konieczniedyś musiałem. Nie mówię tu o szczegółach, ale o ogólném wrażeniu podobieństwa. Wrażenie to, śmiem dodać, bardzo jest dobre i przyjemne.

Roześmiała się odpowiadając: „Ciesz się to niewymownie.

— Tak pani—rzekł kupiec powtarzając w zamyśleniu ostatnie swe wyrazy i przelotne rzucając spojrzenie na gospodynią—wrażenie to jest bardzo dobre i przyjemne. Nic jednak więcej przypomnieć sobie nie jestem w stanie. Pamięć częstokroć jest jak sen na wpół zapomniany. Nie wiem jak to się pani zdaje—pani Goldstraw—mnie jednak tak się to wydaje.

Prawdopodobnie i pani Goldstraw tak się zdawało, bo w milczeniu potakująco kiwnęła głową. Pan Wilding ofiarował się porozumieć ze Spółką Adwokatów do spraw przy sądach duchownych na Doctor-Common, na co zgodziła się pani Goldstraw z podziękowaniem. Ponieważ zaś Doctor-Common niedaleko było położone, przeto już o godzinie trzeciej z południa poszukiwania pana Wilding uwieńczone zostały jak najpomyślniejszym skutkiem; w skutek czego pani Goldstraw zobowiązaną została, jak się sama pięknie wyraziła, do wejścia od jutra rana w atrybucye gospodyni domu w Cripple-Corner.

### Gospodyni mówi.

Zaraz nazajutrz przybyła pani Goldstraw dla objęcia obowiązków.

Urządziwszy się w swoim pokoju, nie zatrudniając służących i nie tracąc czasu, nowa gospodyni przedstawiła się oświadczając gotowość wysłuchania rozkazów jakie jój panu wydać będzie się podobało. Nasz kupiec przyjął ją w tym samym jadalnym pokoju w którym dnia poprzedniego się poznali, i po obustronnych przedwstępnych grzecznościach usiedli dla naradzenia się nad domowymi sprawami.

— Czy wiele będę miała osób do stołowania?—zapytała pani Goldstraw.

— Jeżeli zamiar mój przyprowadzę do skutku—odpowiedział p. Wilding—będzie ich pani miała wielką bardzo liczbę. Jestem sam jeden, kochana p. Goldstraw i pragnę żyć z memi podwładnymi jak z członkami jednej rodziny. Dopóki to nie nastąpi, będziesz pani pamiętała tylko o mnie i o nowym moim wspólniku, którego się lada chwila spodziewam. Jakie są zwyczaje mego wspólnika, tego nie wiem; ale siebie przedstawić mogę jako człowieka trzymającego się regularnie godzin i obdarzonego niezawodzącym nigdy apetytem, na którym pani spokojnie polegać możesz.

— Co do śniadania zaś—zapytała p. Goldstraw—czy ma pan co do zale....?

Zawahała się i pozostawiła zdanie niedokończoném. Powoli przeniosła wzrok ze swego zwierzchnika na komin. Gdyby nie była tak doświadczoną w stosunkach z ludźmi gospodynią, pan Wilding mógłby sądzić że uwaga *jéj* błąkać się zaczyna z samego zaraz początku rozmowy.

— Godzina ósma jest u mnie godziną śniadania—ciągnął Wilding dalej. Jest to jedną z moich zalet że mi się nigdy nie uprzykrzy smażona słonina, a wadą że zawsze podejrzewam świeżość jajek.

Pani Goldstraw spojrzała nań znowu mając ciągle podzieloną uwagę między swym panem a kominem.

— Piję też herbatę—mówił dalej p. Wilding—i nadto się może niepokoję tém, czy nie przeciągnęła. Jak tylko herbata moja za długo naciąga....

Zawahał się ze swéj znów strony i pozostawił zdanie niedokończoném. Gdyby nie prowadził rozmowy w przedmiocie tak dla niego ważnym i zajmującym jak śniadanie, pani Goldstraw sądziłaby mogła, że *jego* uwaga błąkać się zaczyna z samego zaraz początku rozmowy.

— Jeżeli herbata pańska zbyt długo naciąga?—rzekła gospodyni, grzecznie podnosząc zgubiony wątek rozmowy.

— Jeżeli moja herbata zbyt długo naciąga—machinalnie powtórzył kupiec win, podczas gdy myśli jego coraz to bardziej oddalały się od śniadania, a wzrok coraz bardziej badawczo zatrzymywał się na gospodyni.—Jeżeli moja herbata, kochana, kochana pani Goldstraw; czyjże to głos i układ tak bardzo mi przypominasz? Uderzyło mię to dziś mocniej jeszcze aniżeli dnia wczorajszego. Co to być może?



— Co to być może?—powtórzyła p. Goldstraw.

Wyrazy te wymówiła myśląc widocznie o czymś inném. Przypatrując się jęj uważnie, kupiec win spostrzegł że oko jęj raz jeszcze zwróciło się ku kominowi, spoczęło na portrecie jego matki który tam wisiał, a lekkie brwi zmarszczenie świadczyło o bezwiedném prawie natężeniu pamięci.

Pan Wilding zauważył: „Ukochana moja nieboszka matka w dwudziestym piątym roku życia.”

Skinieniem głowy podziękowała mu pani Goldstraw za uprzejme objaśnienie znaczenia wizerunku, i z wyjaśnioném czołem dodała: że to portret pięknej bardzo kobiety.

Pan Wilding wpadając znów w pierwotne swoje pomieszczenie, raz jeszcze usiłował odzyskać stracone wspomnienie, tak blisko a jednak tajemniczo łączące się z głosem i ruchami swęj gospodyni.

— Wybacz mi pani zapytanie—rzekł po chwili—nie mające nic wspólnego ze mną, ani ze śniadaniem. Mogęż wiedzieć czyś pani nie miała innego kiedy zajęcia, jak zajęcie gospodyni?

— O! nieinaczęj panie! Rozpoczęłam pracować na życie jako mamka w domu podrzuteków.

— Czy tak, rzeczywiście! Obejście pani, na Boga! przypomina mi właśnie to miejsce—zawołał kupiec, popychając swęj fotel gwałtownie.

Zdziwionym wzrokiem spojrziała pani Goldstraw na niego, zaczerwieniła się, powstrzymała, spuściła oczy w ziemię i siedziała milcząc bez poruszenia.

— Co pani jest?—zapytał p. Wilding.

— Czy mam przez to rozumieć że pan był u podrzuteków?

— W samęj rzeczy. I nie wstydę się tego wyznać.

— Pod nazwiskiem jakie pan nosi?

— Pod nazwiskiem Waltera Wilding.

— A ta pani?—ucięła krótko pani Goldstraw, rzucając na wizerunek widocznie pełne trwogi spojrzenie.

— Mówisz pani o męj matce?—przerwał Wilding.

— Pańska matka—powtórzyła gospodyni z pewnym przymusem—odebrała go z domu podrzuteków? a w jakim wieku?



— Pomiedzy jedenastym a dwunastym. To romantyczne zdarzenie, pani Goldstraw.

I opowiedział historią o damie która przemówiła do niego, podczas gdy z innemi chłopcami siedział przy obiedzie w domu podrzutek i o tém wszystkiem co dalej z tego wynikło.

— Biedna moja matka nigdyby mię nie odszukała, gdyby nie jedna z dozorczyń która się nad nią ulitowała. Dozorczyńi zgodziła się na to, że obchodząc stoły dotknie się ramienia chłopca noszącego imię Waltera Wildinga i w taki sposób matka moja odnalazła mię znowu, pozostawiwszy niegdyś niemowlęciem u bramy szpitala.

Na te słowa ręka pani Goldstraw oparta na stole, spadła bezwładna na jęj kolana. Siedziała, patrząc na nowego swego zwierzchnika z twarzą śmiertelnie bladą i oczyma wyrażającemi przestrah niewypowiedziany.

— Cóż to ma znaczyć?—zawołał kupiec. Zaczekaj!—krzyknął. Mogę z pani osobą połączyć inne jakie wspomnienia z przeszłości? Przypominam sobie że matka mówiła mi o kimś innym jeszcze z domu podrzutek, względem którego zaciągnęła dług wdzięczności. Kiedy się po raz pierwszy rozłączała ze mną, niemowlęciem jeszcze, jedna z piastunek powiedziała jęj, jakie mi nadano nazwisko. Piastunką tą byłaś pani?

— Niech mi Bóg przebaczy, ja to byłam rzeczywiście!

— Niech pani Bóg przebaczy?

— Wróćmy się lepiej do moich obowiązków w tym domu (jeśli mogę mieć śmiałość tak się wyrazić)—rzekła pani Goldstraw. Śniadanie więc bywa zwykle o ósmej. A w południe jada pan przekąskę lub téż obiad tylko?

Niezwykła czerwoność którą zauważył p. Birtrey na twarzy klienta, występować zaczynała. Zanim mówić począł Wilding, przyłożył rękę do czoła i uspokoił rodzając się w niem zamieszanie w pojęciach.

— Pani Goldstraw—rzekł—kryjesz coś przedemną. Gospodyni uporczywie powtórzyła: „Bądź pan łaskaw uwiadomić mię, czy jadasz przekąskę lub obiad w południe?”

— Sam nie wiem, co robię w południe. Nie mogę wchodzić w szczegóły domowego gospodarstwa, dopóki się nie dowiem, dlaczego żałujesz swego postępku względem męj

matki, o którym ona do końca życia z wdzięcznością wspominała. Nie robisz mi pani przysługi swoim milczeniem. Wzruszasz mię, przerażasz, sprowadzasz szum w głowie.

— Podniósł znów rękę do czoła a rumieńce jego bardziej jeszcze pociemniały.

— Ciężko to bardzo na wstępie służby u pana—rzekła gospodyni—powiedzieć coś takiego, co narazić może na utratę jego względów. Proszę pamiętać, że w jakikolwiek sposób się to skończy, mówiłam tylko na wyraźne pana polecenie i z obawy aby moje milczenie zbyt znacznie go nie zatrzymało. Kiedym tej pani, której wizerunek tam oto wisi, powiedziała imię jakim dziecę jej ochrzczono w zakładzie, przyznałam się sama do zapomnienia obowiązków i straszne z tego wynikły następstwa. Powiem panu całą prawdę na jaką zdobyć się będę w stanie. W kilka miesięcy po tém zdarzeniu, jakaś pani, podobno cudzoziemka przybyła do zakładu w zamiarze adoptowania jednego z naszych dzieci. Przywiozła z sobą żądane do tego pozwolenie, a kiedy już wielu się przyjrzała dzieciom, niemogąc się na wybór zgodzić, uczuła nagle skłonność do jednego z nich, chłopczyka pod moją zostającego opieką. Uspokój się pan, kochany panie. Na nic mi się nie przyda ukrywać prawdę dłużej: dziecę wówczas adoptowane, było dziećciem tej pani której wizerunek nad kominkiem zawieszony.

Pan Wilding zerwał się z krzesła.

— Niepodobna!—zawołał gwałtownie. Co pani bredzisz, jakąż nierozsądną bajkę mi opowiadasz? Tam jest jej portret. Nie powiedziałem tylko có? portret mój matki!

— Kiedy po latach wielu, nieszczęśliwa ta kobieta odebrała pana z domu podrzutków—rzekła pani Goldstraw—oboje byliście ofiarami straszego błędu.

Upadł napowrót w fotel.

— Pokój kręci się wkoło mnie i głowa moja, głowa!

Gospodyni powstała strwożona i otworzyła okno. Zanim jednak zdążyła dojść do drzwi aby o pomoc zawołać, nagły potok łez ulżył mu, wyprowadzając z grożącego życia niebezpieczeństwa. Uczynił znak proszący panią Goldstraw, aby go nie opuszczała. Zaczekała więc dopóki paroksyzm płaczu nie przeszedł sam przez się. Gdy całkiem już przy-

szedł do siebie, podniósł głowę i spojrzał na nią z gniewną i nierozsądną podejrzliwością człowieka słabego charakteru.

— Błąd?—powtórzył zmienionym głosem. Mogę być pewnym, że sama w błędzie nie jesteś?

— Niema żadnej pod tym względem wątpliwości, a dlaczego, powiem to panu później, gdy lepiej do słuchania będziesz usposobionym.

— Mów pani zaraz! natychmiast!

Głos jakim wymówił te wyrazy, ostrzegł panią Goldstraw, że byłoby okrucieństwem dać mu się łudzić dłuższą próżną nadzieją błędu; w kilku słowach skończyć można, i te kilka słów postanowiła wypowiedzieć.

— Powiedziałam już panu, że dziecię tej pani, której wizerunek tu oto zawieszony, w niemowlęctwie swém jeszcze adoptowane zostało i zabrane z domu podrzutków przez nieznaną jakąś damę, zdaje się cudzoziemkę. Jestem tego tak pewną, jak tego, że siedzę teraz zmuszona przyprowadzać pana wbrew méj woli, do rozpacz. Zechciej pan przenieść się myślą o trzy miesiące później po tém co zaszło. Byłam wtedy u podrzutków w Londynie, mając umieścić kilkoro dzieci u mamek na wsi. Chodziło właśnie o nadanie nazwiska dziecięciu, chłopczykowi tylko co do zakładu przyjętemu. Traf mieć chciał, że w tej samej chwili jeden z zarządzających zakładem zajrzał do księgi mieszczącej w sobie listę dzieci i zauważył że nazwisko dziecka adoptowanego, Walter Wilding było przekreślone, a to z tej zupełnie przyczyny, że z pod naszej opieki przeszło dziecię w inne również troskliwe o niego ręce. „Otóż nazwisko gotowe—rzekł—dajcie je nowo przyjętemu dziecięciu“. Nadano nazwisko i ochrzczono dziecię, a tém dziecięciem ty byłeś panie.

Głowa kupca win opadła na piersi.—Ja byłem tém dzieckiem—powtórzył bezmyślnie—Ja byłem tém dzieckiem?

Wkrótce po przyjęciu pana do zakładu wyszłam z niego aby pójść za męża. Zapamiętaj pan tę okoliczność i zwróć na nią swoją uwagę, a zrozumiesz jak powstać mogła pomyłka w osobach. W jedenaście czy też dwanaście lat potem, przybyła do podrzutków ta dama, o której sądziłeś, że była twoją matką, w celu odszukania i zabrania do siebie syna. Wiedziała to tylko, że dziecię jej nosiło nazwisko Waltera



Wilding. Dozorczyńi która się nad nią ulitowała, mogła jój wskazać tego tylko Waltera Wilding, który się znajdował w zakładzie; ja zaś, którabyś mogła całą rzecz wyjaśnić, znajdowałam się wówczas daleko od zakładu i tego wszystkiego co było z nim w jakimkolwiek związku. Nie ustrzedz nie mogło od fatalnej pomyłki. Wchodzę w położenie pańskie, o wierzaj mi pan! Myślisz i słusznie, że w nieszczęśliwą godzinę zjawiłam się w tym domu, chociaż bez żadnej złej myśli zaręczam, aby starać się o miejsce gospodyni. Czuję że zasłużyłam na naganę; czuję że powinnam była więcej zapanować nad sobą. Gdybym się tylko zatrzymać była w stanie od pokazania panu tego, co mi ten wizerunek i słowa pańskie na myśl przywiodły, nie wiedziałbyś pan nigdy, do ostatniego dnia życia, tego co wiiesz teraz.

Pan Wilding podniósł nagle swe oczy w ziemię spuszczone. Wrodzona temu człowiekowi uczciwość obruszyła się na ostatnie słowa gospodyni. Umysł zdawał się nabierać hartu pod wpływem ciosu jaki go uderzył.

— Co chcesz pani przez to powiedzieć?—zawołał.

— Powiedziała bym zawsze prawdę, gdybym pytana była—odpowiedziała pani Goldstraw. Wiem że lepiej jest dla *mnie* niekryć tajemnicy któraby mi wiecznie ciążyła. Ale czy będzie to lepiej dla *pana*? Na co się to teraz przydać może?

— Na co? Jeżeli pani powiedziałaś prawdę.

— Czyżbyś się w mojem położeniu na fałsz odważyła?

— Więc przepraszam — rzekł kupiec win. Musisz pani być dla mnie pobłażliwą. W straszne to odkrycie uwierzyć jeszcze nie mogę. Kochaliśmy się tak mocno, czułem sercem iż jestem jój synem. Umarła na moim ręku, umarła błogosławiąc tak, jak tylko matka błogosławić mogła. I oto po latach tylu dowiedzieć się że nie była moją matką! O biada mi, biada! sam nie wiem już co mówię—wykrzyknął, kiedy postanowienie panowania nad sobą pod wpływem którego mówił dotychczas, słabnąć w nim zaczęło. Co innego, a nie okropny mój smutek, miałem na myśli i wypowiedzieć chciałem. O tak! tak! zdziwiłaś mię pani niepomąłu, zraniłaś mię nawet. Mówiłaś tak, jakbyś to ukryć przedemną chciała, gdyby to tylko było w twój mocy. Zataić to byłoby zbrodnią. Nie chcę pani robić wymówek, jesteś dobrą ko-

bietą; ale nie pamiętasz jakie jest moje położenie. Pozostawiła mi wszystko co posiadała w stałym przekonaniu, że jestem jój synem. Tymczasem nie jestem jój synem. Wszedłem w miejsce, zabrałem spadek innego człowieka, jakkolwiek bez żadnej z méj strony winy. Muszę go odnaleźć; jakże bowiem wiedzieć mogę, czyż nie jest teraz w nędzy bez kawałka chleba? Muszę go odnaleźć! Wtedy tylko przenieść będę w stanie cios jaki mię spotkał, jeżeli uczynię coś takiego coby ona pochwaliła. Musisz wiedzieć więcéj, pani Goldstraw, aniżeli to coś mi powiedziała: kto był ową cudzoziemką, która dziecię przysposobiła? Musiałaś słyszeć jój nazwisko.

— Nigdy, panie! nie widziałam jój i nie słyszałam o niéj od owego czasu.

— Czy nie mówiła co odbierając dziecię? Poszukaj pani w swéj pamięci; ona musiała coś powiedzieć!

— Jedną tylko okoliczność przypomnieć sobie mogę. Rok ten był szczególnie dla dzieci niezdrowym i wielka ich liczba chorowała. Kiedy odbierała niemowlę, rzekła do mnie śmiejąc się: „Nie obawiajcie się o jego zdrowie; będzie on w zdrowszym, aniżeli wasz klimacie, zawiozę je bowiem do Szwajcaryi.”

— Do Szwajcaryi? a do jakiej jój części?

— Tego nie powiedziała mi wcale.

— Ten tylko ślad niewyraźny—rzekł pan Wilding—i ćwierć wieku upłynęło od chwili odebrania dziecka z zakładu. Cóż mam czynić teraz?

— Spodziewam się, że śmiałość moja nie obrazi pana—rzekła pani Goldstraw. Czemu się martwić tém, co się już stało? Prawdziwy, a raczéj pierwszy Walter Wilding może już nie żyć, a jeśli żyje, to niepodobna aby mógł być w potrzebie. Osoba która go adoptowała, była wykształconą i majątną; łatwo to poznać można było. Musiała téż udowodnić w zakładzie, że ma środki dla zabezpieczenia bytu dziecięcia; inaczéj nigdyby jój dziecka nie dano. Gdybym na pańskim była miejscu, racz mi pan wybaczyć, że się tak wyrażę, pocieszyłabym się myślą, iż kochałam nieszczęśliwą tę kobietę, której tu wisi portret, kochałam szczerze jak matkę, i że ona kochała mię szczerze jak syna. Wszystko cokolwiek panu pozostawiła, pozostawiła z powo-

du tego właśnie przywiązania. Było ono niezmienném, dopóki żyła, pozostanie, spodziewam się, takiem samém dopóki pan żyć będziesz. Jakież lepsze posiadać pan możesz prawo do tego majątku, jak to które masz teraz?

Niezachwiana uczciwość pana Wildinga wskazała mu fałszywość poglądu gospodyni.

— Pani mię nie rozumiesz — rzekł on. — *Dlatego właśnie że ją kochałem, poczytuję sobie za obowiązek, za święty obowiązek zwrócić synowi jęj to, co mu się słusznie należy. Jeżeli żyje jeszcze, wynaleźć go muszę, tak dobrze w moim własnym, jak i w jego interesie. Upadnę pod tym strasznym ciosem, jeżeli nie zajmę się sam czynnie, natychmiast dopełnieniem tego o czém sumienie mi mówi, że dopełnioném być winno. Muszę się rozmówić z moim adwokatem, muszę powołać go do dzieła zanim się dzisiaj spać położę.*

Przez tubę w ścianie umieszczoną zawołał pracującego w biurze dependenta.

— Zostaw mię pani samego — ciągnął dalej — później w ciągu dnia zdolniejszym będę może do rozmowy z panią. Będziemy z sobą i nadal w dobrej pozostawać zgodzie, pomimo to co między nami zaszło. Nie ma w tém winy ze strony pani, czuję to dobrze. Oto podaj mi pani rękę i... i rób jak możesz najlepiej w domu, nie mogę teraz o tém rozmawiać.

Podczas gdy pani Goldstraw ku drzwiom zmierzała, ukazał się w nich Jarvis.

— Poszlij po pana Bintrey — rzekł kupiec win. — Powiedz że chcę się z nim jak najprędzej zobaczyć.

Dependent jednak niechęący zawiesić wykonanie rozkazu, meldując pana Wendale i wprowadzając jako nowego wspólnika firmy Wilding i Sp.

— Wybacz Jerzy Wendale, za chwilkę służyć ci będę — rzekł Wilding — mam powiedzieć słówko Jarvisowi. — Poszlij po pana Bintrey — powtórzył raz jeszcze — poszlij natychmiast.

Jarvis zanim odszedł położył list na stole.

— Od naszego korespondenta z Neuchâtelu, o ile mi się zdaje list nosi szwajcarską markę pocztową.



Nowe postacie ukazują się na scenie.

Słowa te: „Szwajcarska marka pocztowa,” tylko co prawie poprzedzone wzmianką gospodyni o Szwajcaryi, przyprowadziły pana Wilding do takiego stopnia niepokoju, że nowy wspólnik nie mógł go niezauważyć bez naruszenia przepisów grzeczności.

— Kochany Wildingu — zapytał, a jednak zatrzymując się i spoglądając w około jakby szukał widomej jakiej przyczyny jego niepokoju — cóż ci to takiego?

— Dobry mój Jerzy Vendale — odrzekł kupiec win, podając mu rękę z błagalnym spojrzeniem, jak gdyby go nie witał i pozdrowiał, ale raczój prosił o pomoc w trudnym położeniu — dobry mój Jerzy chodzi mi oto, że już nigdy nie będę sobą samym. Jest niepodobieństwem abym kiedyś znów mógł zostać sobą. Bo, w samą rzecz, nie jestem sobą.

— Nie samym sobą? — odparł z naturalnym bardzo zdziwieniem nowy wspólnik, piękny, śniadawej cery, w jego prawie wieku młody człowiek, z żywym, stanowczym spojrzeniem i prędkimi ruchami.

— Nie jestem tém, czém się być sądziłem — rzekł Wilding.

— Czémże, dla Boga, sądziłeś się być; czém sam nie jesteś? — odpowiedział Vendale z wesołą otwartością w głosie, zachęcającą do zwierzeń najbardziej skrytego człowieka. Mogę się zapytać bez obrażenia ciebie, jesteście bowiem teraz wspólnikami.

— Otóż znowu, — wykrzyknął Wilding, przechylając się na krześle, i patrząc nań wzrokiem, którego Vendale zrozumieć nie mógł. — Wspólnikami! ja nie mam prawa mieszać się do interesów handlu. Handel ten nie był dla mnie przeznaczony. Moja matka nie miała zamiaru mnie go zostawić. A raczój myślę, że *jego* matka myślała handel jemu zostawić — jeżeli wreszcie myślę o czemkolwiek — albo jeżeli jestem czemkolwiek.

— Dajże temu pokój, kochany Wildingu, — perswadował wspólnik, po chwilowym milczeniu, dodając mu otuchy przez wpływ, jaki zwykle umysły silne wywierają na słabe, gdy szczerze chcą im dopomóc. — Jeżeli się coś źle stało, to

z pewnością nie z twojej winy, jestem o tém przekonany. Nie na to spędziliśmy z sobą trzy lata w tym kantorze za naszych dawnych zwierzchników, abym teraz wątpić miał o twym charakterze. Pozwól mi rozpocząć naszą wspólną wyrazdzeniem ci przysługi i naprawieniem złego jakie się stało. Czy list ten dotyczy tego w czémkolwiek przedmiotu naszej rozmowy?

— Ha!—rzekł Wilding cisnąc ręką skronie.—Otóż znowu! Moja głowa! Zapomniałem o tym dziwnym zbiegu okoliczności. Szwajcarska marka!

— Spostrzegam teraz, że list nieodpieczętowany, prawdopodobnie więc nie ma związku z całą sprawą,—rzekł Vendale pocieszającym głosem. — Czy do ciebie samego, lub do nas obu pisany?

— Do nas,—rzekł Wilding.

— Pozwól więc otworzyć go i przeczytać głośno, żeby nam więcéj nie zawadzał?

— Proszę cię, proszę.

— List ten pochodzi od fabryki szampańskiego wina w Neuchatelu, z którą jesteśmy w stosunkach. „Szanowny panie! Otrzymaliśmy list jego z dnia 28 zeszłego miesiąca, donoszący nam o przyjęciu do wspólki pana Vendale; proszę więc przyjąć nasze w tym względzie życzenia. Korzystamy przytém ze sposobności polecenia mu szczególnego pana Juliusza Obenreizera!

— To niepodobne!

— He? — zawołał Wilding, spojrzawszy bystro na niego.

— Nazwiska takiego trudno nawet wymówić—odrzekł wspólnik z niechcenia—Obenreizer.

„Polecenia mu szczególnego pana Juliusza Obenreizer w Soho Sqarg, w Londynie (w północnej części) uwierzytelnionego na przyszłość naszego agenta, — a który miał już sposobność zawarcia znajomości ze wspólnikiem pana, panem Vendale w rodzinnym jego (to jest pana Obenreizera) kraju: Szwajcaryi.

— Nieinaczej: no, no i czegoż się namyślam! przypominam sobie teraz; podróżując ze swoją siostrzenicą.

— Ze swoją? — Vendale tak szybko połknął ostatnie wyrazy, że go Wilding nie dosłyszał.

— Podróżując ze swoją siostrzenicą. Siostrzenicą Obenreizera — rzekł Vendale chcąc się nazbyt jasno tłumaczyć. Z Obenreizera siostrzenicą. (Spotkałem się z niemi w pierwszej mojej podróży po Szwajcaryi, towarzyszyłem im przez jakiś czas, a potem straciłem z oczu przez dwa lata; spotkałem ich powtórnie w przedostatniej swojej podróży i od tego czasu nie widziałem ich już więcej). Obenreizer. Siostrzenica Obenreizera. Niezawodnie! Słyszał też kto podobne nazwisko!

„Pan Obenreizer posiada zupełne nasze zaufanie, i nie wątpimy ani na chwilę, że potrafi zasłużyć na pański szacunek. Podpisano: dom handlowy Defresnier et comp.”

— Bardzo dobrze. Biorę na siebie widzieć się natychmiast z p. Obenreizer i załatwić się z nim. A teraz powiedz mi kochany Wildingu w czym mogę ci być pomocnym, a wynajdę sposób na rozproszenie twych kłopotów.

Pocziwy kupiec win nad wszelki wyraz wdzięczny za zdjęcie zeń tego ciężaru, uścisnął rękę swego współnika i opowiedział całą historję zaczynając ją od nazwania się oszustem.

— W tej niezawodnie sprawie chciałeś zasięgnąć rady pana Bintrey, posyłając po niego, — rzekł współnik po pewnym namyśle.

— Tak jest, rzeczywiście.

— Ma on doświadczenie i wiele przebiegłości; ciekawy jestem niezmiernie poznać jego opinię. Jest to zbyt śmiało i hazardownie z méj strony, występować z mojem nie poznawszy wprzód jego zdania, ale leży to już w moim charakterze, że się wstrzymać nie mogę. A więc otwarcie mówiąc, inaczej się zapatruję na twoje położenie. Co do tego, że masz być oszustem, jest to, kochany Wildingu najzupełniejsze absurdum, żaden bowiem człowiek nie może się stać nim nie zezwalając i nie wiedząc nic o oszustwie. Jasną jest przeto rzeczą, że nigdy oszustem nie byłeś. Co się zaś tyczy wzbogacenia przez ową panię, która sądziła cię być swoim synem, a której wierzyć musiałeś że była twoją matką, bo ci macierzyńskiej miłości dała dowody, rozważ dobrze czy ono było wpływem osobistych między wami związków. Ty stawaleś się stopniowo coraz bardziej do niej przywiązanym; ona coraz bardziej cię kochającą. Otóż właśnie na



ciebie, a nie na kogo innego, jak to odrazu spostrzegam, przelała ona wszystkie te ziemskie dobra i od niej je, jako takię, otrzymałeś.

— Była przekonana że mam naturalne prawo do jej majątku, którego właściwie nie posiadam, — zarzucił Wilding, wstrząsając głową.

— Przypuśćmy że to jest prawdą, — odparł współnik. Ale gdyby uczyniła to odkrycie jakieś ty uczynił, na sześć miesięcy przed swoją śmiercią, czy myślisz żeby to mogło zacierać z jej serca lata razem z tobą spędzone a wraz z niemi tkliwe uczucie przywiązania jakieście wzajemnie do siebie powzięli.

— To co ja myślę, — rzekł Wilding ze szlachetną dumą samego tylko faktu — nie może zmienić prawdy, tak jak niepodobnem jest dosięgnąć sklepienia niebios; prawdą zaś jest, że znajduję się w posiadaniu majątku przeznaczonego dla innego człowieka.

— On mógł już umrzeć, — rzekł Vendale.

— On może żyć jeszcze, — rzekł Wilding. A jeżeli żyje, czyżem go, niewinnie, zaręczam że niewinnie i tak już nie dosyć obdarł, chociaż bez winy, zaręczam że bez żadnej z mej strony winy. Czyż nie obdarłem go z tych chwil szczęśliwych, które zamiast niego pędziłem. Czyż nie obdarłem go z tej niewysłowionej rozkoszy nazywania téj ukochanej kobiety (wskazując ręką na portret) moją matką? Nie obdarłem go z tych wszystkich starań jakie około mnie łożyła? Nie obdarłemże go z tego poświęcenia i pełnienia względem niej słodkich syna obowiązków. Oto dlaczego zapytuje się ciebie Jerzy Vendale, i zapytuje się siebie samego, gdzie się znajduje ów pokrzywdzony przezemnie człowiek? Co się z nim stało?

— Któż to wiedzieć może!

— Muszę postarać się o kogoś takiego coby o tém wiedział. Zarządę poszukiwania. Nie powinienem zaniedbać poszukiwań. Żyć będę z dochodów jakie mi moja, chciałem powiedzieć jego część, w tym handlu przynosić będzie, resztę odkładać będę dla niego. Jeżelibym go znalazł, mógłbym zapewne poledz na jego wspaniałomyślności; ale ustąpię mu wszystkiego. Ustąpię i przysięgam że tak uczynię na miłość i cześć jaką miałem dla niej, — rzekł Wilding,

przesyłając ręką pełen szacunku pocałunek ku portretowi, — a następnie zakrywając sobie nią oczy. Przysięgam na miłość, cześć i obowiązek wdzięczności jakie mam dla niej. — I zapłakał wymawiając te słowa.

Wspólnik jego powstał z krzesła na którym dotychczas siedział i stanawszy przy nim położył lekko rękę na jego ramieniu. — Walterze nie dziś dopiero poznałem cię jako człowieka prawego, czystego sumienia, delikatnych uczuć. Szczęśliwy jestem, iż życie przepędzę przy boku tak czcigodnego człowieka. Jestem ci wdzięczny za to. Używaj mnie jak prawej swojej ręki i polegaj na mnie zawsze, aż do śmierci. Nie miéj mi tego za złe, że przeważają we mnie myśli, które nazwać możesz pomieszanemi i nierozsądnemi. Czuję daleko więcej litości dla téj kobiety i dla ciebie, że nie staliście w takim do siebie stosunku w jakim się znajdować myśleliście, aniżeli dla tego nieznanego mi człowieka, jeżeli zresztą wyrósł na człowieka, że bez wiedzy jego nawet usunięty został z przynależnego mu w społeczeństwie stanowiska. Dobrześ uczynił posyłając po pana Bintrey; pewny jestem, iż rada jego zgodną będzie z moją. Nie ró b nic w téj ważnej sprawie gwałtownie i bez rozwagi. Tajemnica musi być ściśle między nami zachowana, inaczej bowiem otworzylibyśmy pole dla nieuzasadnionych i podejrzanych roszczeń, zachęciłibyśmy tłumy oszustów, dali wolny bieg różnego rodzaju intrygom i krzywoprzysięztwom. Nie mam nic więcej do powiedzenia kochany Walterze, jak tylko zaproponować ci odstąpienie mi pewnej części twych interesów handlowych, abyś nie pracował więcej aniżeli ci na to zdrowie nadwątłone pozwala; ja zaś przejąć je na siebie pragnę, aby swéj chęci do pracy szersze otworzyć pole. Przy tych słowach, z uczuciem ścisnąwszy rękę wspólnika, wyszedł Jerzy Vendale do kantoru, a wkrótce potem na odszukanie Juliusza Obenreizera.

Kiedy zakręcał już na Soho-Square i kierował swe kroki ku północnej jego części, szkarłatny rumieniec pokrył ogorzałe jego policzki, i gdyby Wilding był lepszym spostrzegaczem lub mniej zajęтым własnemi kłopotami, byłby go również zauważył przy pewnym ustępie listu ze Szwajcaryi, który w ustach czytającego głośno wspólnika, mniej wyraźnie od innych wyszedł ustępów.

Godna ciekawości szwajcarska kolonia oddawna osiedloną była w téj części Londynu, na małej przestrzeni zwanej Soho-Square. Tłumami tu zamieszkiwali szwajcarscy zegarmistrze, szwajcarscy złotnicy, szwajcarscy przekupnie szwajcarskich zabawek różnego rodzaju i grających pozytywek, szwajcarscy nauczyciele muzyki, rysunku i języków; szwajcarscy rzemieślnicy, szwajcarscy posługacze i różni służący peryodycznie cierpiący na brak panów i służby; szwajcarskie praczki i fabrykanci krochmalu; zagadkowego zatrudnienia Szwajcarzy płci obojęd; Szwajcarzy nieposzlakowanej i podejrzanéj konduity; Szwajcarzy którym we wszystkiém zaufać można i Szwajcarzy którym w niczém zaufać nie można: te rozmaite szwajcarskie atomy siłą atrakcyi trzymają się środka dzielnicy Soho. Znaléźć tu można liche szwajcarskie garkuchnie, kawiarnie, hotele, szwajcarskie napoje i jadła, szwajcarskie nabożeństwa w niedziele, i szwajcarskie szkoły w dnie powszednie. Nawet czysto angielskiego pochodzenia taverny, prowadzą nie angielski handel, ogłaszając w oknach o szwajcarskich przekąskach i napitkach i ukrywając w swoich izbach miłosne sceny i bójki szwajcarskie.

Kiedy nowy współnik domu Wilding i Sp. pociągnął za dzwonek u drzwi noszących na mosiężnej blaszce niewyraźny już napis: Obenreizer, a będących uboczném wejściem do porządnego domu, którego front z głównymi drzwiami mieścił skład zegarków szwajcarskich, znalazł się odrazu w zupełnie szwajcarskiém otoczeniu. Piec z białych kafli zajmował większą część pokoju do którego Vendale został wprowadzony; drewniana posadzka ułożona w prosty lecz gustowny deseń, ogołoconą była z kobierców, ściany pokoju nie były niczém przyozdobione i znać było na nich częste skrobanie; a mały dywanik w kwiaty leżący przed kanapą i etażerka z ogromnym zegarem i wazonami pełnemi sztucznych kwiatów walczyły z resztą sprzętów o lepsze, nadając całości pozór mléczarni, przekształconéj przez jakiego paryżanina na pokój mieszkalny.

Fałszywa woda spadała z młyńskiego koła umieszczonego pod zegarem. Gość nasz nie miał jeszcze czasu lepić się mu przypatrzeć, kiedy wszedł pan Obenreizer i dotykając się jego ramienia powitał go i rzekł doń w dobrej angielskiej



szczyźnie, chociaż z nieco cudzoziemskim akcentem:—Jak się pan miewasz? Rad jestem, że pana widzę.

— Mocno pana przepraszam. Nie słyszałem pańskiego wejścia.

— Nie ma za co. Usiądź pan, proszę.

Uwalniając ręce swego gościa, które w rodzaju uściśnienia lekko za łokcie uchwycił, siadł także pan Obenreizer i rzekł z uśmiechem:—Dobrze pan wyglądasz? Cieszy mnie to!—i znów go za łokcie uściśnął.

— Zapewne,— rzekł Vendale po ukończonej wymianie obustronnych powitań, — dowiedziałeś się pan o mnie od domu handlowego w Neuchâtel?

— Tak, w samą rzecz.

— Zostającego w stosunkach z Wilding i Sp.

— Tak jest, z pewnością.

— Nie będzie się to panu dziwnem wydawać, że ja, tu w Londynie, przychodzę jako należący do firmy Wilding i Sp. powitać pana w jej imieniu?

— Wcale nie! Cóżem to zawsze mówił kiedyśmy byli w górach? Nazywaliśmy je niezmiernemi; a świat jest tak mały. Świat jest tak mały, że człowiek nie może się usunąć przed pewnemi wadkami. Tak mało jest ludzi na świecie, że sobie wciąż zachodzą drogę. Świat jest tak małym, że uwolnić się nie można od pewnych osób. Nie dlatego jednak,— rzekł dotykając jego łokcie znowu z przymilającym na ustach uśmiechem,— aby się chciało uwolnić od obecności pana.

— Tak się spodziewam, panie Obenreizer.

— Nazywaj mnie pan, proszę, w swoim kraju Mister. Sam się tak nazywam, bo kocham swoją ojczyznę. Gdybym to ja *mógł* być Anglikiem. Ale jużem się raz urodził Szwajcarem. A pan? chociaż pochodzisz z tak pięknej familii otrzymałeś pozwolenie zajmowania się handlem i to handlem win? Czy to się zowie w Anglii handlem czy powołaniem?

— Panie Obenreizer, — odrzekł Vendale zbity nieco z tonu, — byłem dorastającym dopiero nierozsądnym chłopcem, kiedy po raz pierwszy miałem przyjemność podróŜowania z nim, i kiedy pan i pańska siostrzenica — która się ma dobrze zapewne?

— Dziękuję: zupełnie dobrze.

— Razem dzieliliśmy lekkie niebezpieczeństwa grożące nam wśród lodowców. Jeżeli, będąc młodzieńcem zaledwie, szczyciłem się moją familią, czyniłem to w nadziei lepszego przedstawienia się panu. Było to bardzo nierozsądnie i w złym smaku.

— Zanadto pan wiele robisz sobie z tego, — odparł Szwajcar. Ależ w samą rzecz! piękną pan *miateś* familią.

Śmiech Vendale'a zdradzał nieco markotność gdy odpowiedział:

— Przywiązany byłem bardzo do moich rodziców, i kiedyśmy pierwszy raz podróżowali z sobą panie Obenreizer, tylko co właśnie wszedłem w posiadanie pozostawionego mi przez nich spadku. Tak więc unniemam, że była to raczej młodzieńcza otwartość w uczuciach i w mowie, aniżeli chępliwość.

— W samą rzecz! szczerowość w mowie i uczuciach, a nie chępliwość. Zanadto się oskarżasz. Obwiniasz się, na honor, tak ciężko, jak rząd przed zgromadzonemi izbami. A nadto, owa rozmowa wzięła odemnie początek: przypominam sobie ów wieczór w łódce na jeziorze, w którym odbijały się góry i doliny, skały i iglaste lasy, a stanowiące najdawniejsze moje wspomnienia; wtedy to skreśliłem obraz mojego opłakanego dzieciństwa. Opowiadałem o nędznej naszej chatce przy wodospadzie, który matka moja pokazywała podróżującym; o obórcie, w której wraz z krową sypiałem; o moim przyrodnim bracie kulawym i idyocie siedzącym zawsze podedrzwiami lub upędzającym się za jałmużną; o przyrodniej siostrze z ogromnym u szyi wolem i wiecznie na kołowrotku przędzającą; o sobie nieszczęśliwym wygłodzonym i obdartym dzieciaku dwu lub trzyletnim, podczas gdy oni byli już dorosłemi ludźmi z nielitościwie twardemi rękami, któremi mię bili, mnie jedyne dziecko po drugiej żonie mego ojca, jeżeli tylko żonę zwać się mogła. Cóż było bardziej naturalnego z pańskiej strony, jak porównać nasze stanowiska i powiedzieć: Byliśmy w jednym prawie wieku; w tym samym czasie siedziałem na kolanach matki w powozie toczącym się przez bogate ulice Londynu, otoczony przepychem, a oddalony od plugawej nędzy ulicznej. Takie są moje pierwsze wspomnienia w przeciwstawieniu do pańskich.

Pan Obenreizer był to młody brunet, ciemnej cery, a na śniadych jego policzkach nie ukazywał się nigdy rumieniec. Kiedy u innych ludzi wystąpiłyby rumieńce, u niego spostrzegać się jedynie dawała lekka w policzkach pulsacya, jak gdyby same tylko działały tętna, suche i krwi nieprzeprowadzające. Był on zbudowany silnie, proporcjonalnych kształtów i pięknych rysów twarzy. Wielu zauważyło zapewne, że jakaś mała w jego rysach odmiana dodałaby mu wdzięku; zmiany tej jednak nie można było określić bliżej. Mimo to małe zboczenie w rysach od wymagań zupełnej piękności, niezważanoby na nie gdyby usta miał nieco szersze a grubszą szyję. Szczególniejszym był jeszcze w twarzy Obenreizera wzrok, który gdy czego uważnie słuchał zachodził mgłą, przysłaniał się jakby błoną jakąś, tak że z twarzy jego wówczas myśli odgadnąć było trudno. Nie znaczyło to jednak aby wtedy całą swoją uwagę poświęcał osobie, z którą rozmawiał lub przedmiotom które miał przed oczyma. Przeciwnie, była to z jego strony pojętna baczność na wszystko co miał w myśli, albo wiedział lub sądził, że jest w myśli innych ludzi.

W tém miejscu rozmowy wzrok pana Obenreizera tajemniczą swą mgłą się zasunął.

— Celem moich odwiedzin, — rzekł Vendale, — jest, o czém zaledwie potrzebuję mówić, zapewnić pana o życzliwości i zaufaniu jakie dla niego dom Wilding i Sp. posiada i o życzeniu naszym być mu w czemkolwiek użytecznym, krótko mówiąc ofiarujemy panu naszą gościnność. Wszystko nie jest jeszcze w porządku, bo pan Wilding mój wspólnik reorganizuje domowe gospodarstwo naszego zakładu i przeszkodzony jest w tém prywatnemi interesami. Pan nie zna pana Wilding o ile mi się zdaje.

Pan Obenreizer wyznał że go nie zna.

— Musisz nas pan wkrótce odwiedzić. Cieszyć się będę ze zrobienia z panem znajomości, i sądzę że przepowiedzieć mogę zadowolenie pana gdy go poznasz. Pan, jak mniemam musiałeś niedawno przesiedlić się do Londynu?

— W tych czasach podjąłem się agentury tej.

— Siostrzenica pańska nie wychodzi za mąż?

— Nie jeszcze.



Jerzy Vendale obejrzał się dokoła, jakby szukając śladu jęj obecności.

— Czy przebywała i w Londynie.

— *Ona* jest w Londynie!

— Kiedy i gdzie miałbym zaszczyt przypomnieć się jęj pamięci?

Z okiem od owęj błony wolném, i dotykając jak poprzecznie łokci swego gościa, rzekł pan Obenreizer z niechcenia: „Chodź pan na górę.” Jerzy Vendale szedł za nim po wschodach, zmieszany nieco nagłością widzenia się którego sam pragnął. W pokoju położonym nad tym w którym dotychczas się znajdował, a więc w podobnym szwajcarskim guście, pod jedném z trzech okien siedziała młoda kobieta schylona nad krosienkami; druga zaś starsza, twarzą zwrócona do białego kaflanego pieca, chociaż to było lato a piec nie był opalany, czyściła pilnie rękawiczki.

Głowę młodej kobiety pokrywały niezwykle bujne, jasne i piękne włosy zgrabnie splecione nad białem i bardziej aniżeli w angielskich typach wypukłym czołem; twarz jęj była krągłą i aniżeli zwykle bywają twarze Angielek, a kibić podobnie o wiele pełniejsza od dziewiczych angielskich piękności. Swoboda i wdzięk w ruchach i całej postawie, zadziwiającej świeżości i czystości cery twarzyczka z wdzięcznymi w policzkach dołkami i duże siwe oczy zdradzały wpływ górskiego powietrza. Chociaż suknia zwykłego była kroju, to jednakże szczególnego rodzaju stanik i wzbudzające ciekawość czerwone w kliny pończoszki i małe ze srebrnymi sprzączkami trzewiczki, świadczyły o szwajcarskiem swém pochodzeniu. Co zaś do starszej damy siedzącej na uboczu z nogami o podstawę pieca opartymi i pełném pudełkiem starych rękawiczek, z których właśnie jedną na lewej ręce rozpostartą pracowicie czyściła; była ona uosobieniem szwajcarskiego typu, choć w innym niż pierwsza rodzaju; poznać to można było po szerokości okrągłych i do poduszek podobnych pleców, po ciężkich i grubych jęj nogach, po przepasce z czarnego aksamitu mocno jęj szyję opasującą dla zapobieżenia zapewne objawiającej się skłonności do wola; wyżej jeszcze idąc, po złotych kołczykach z miedzianym połyskiem a wreszcie wyżej się jeszcze posuwając, po ubrauiu głowy składającym się z krepy na druty powleczonej.

— Miss Margerito, czy przypominasz sobie tego dżentlemana?—rzekł Obenreizer do młodej kobiety.

— O ile mi się zdaje, jestto pan Vendale—odrzekła podnosząc się z krzesła zdziwiona i pomieszana trochę.

— Nieinaczéj—odrzekł oschle Obenreizer.—Pan Vendale, pani Dor.

Starsza kobieta siedząca pod piecem z rękawiczką rozciągniętą na lewój ręce, jak sztyld rękawicznicy, podniosła się nawpół, spojrzała przez szerokie ramiona, padła znów w krzesło i zajęła się wycieraniem rękawiczki.

— Pani Dor jest tak łaskawą—rzekł Obenreizer—iż uwalnia mnie zawsze od wszystkich plam i dziur w ubraniu. Pani Dor dogadza mojej słabostce do czystości i poświęca swój czas na wywabianie zrobionych przezemnie plam.

Jerzy Vendale usiadł przy krosienkach, uściśnawszy wprzód piękną prawą rączkę, którą jego wejście zatrzymało w pracy, i spojrzał na złoty krzyżyk, kryjący się w fałdach stanika, z nabożeństwem pielgrzyma, który ujrzał nareszcie święty cel swéj wędrówki. Obenreizer stanął na środku pokoju z ręką za kamizelkę założoną i wzrok jego mgłą się zasunął.

— Wuj pani powiedział tam na dole, panno Obenreizer—zauważył Vendale—że świat jest tak mały, że ludzie skryć się nie mogą przed sobą. Co do mnie znalazłem go za obszernym dla siebie, od czasu kiedy panią raz ostatni widziałem.

— Odbywałeś pan więc dalekie podróże?—zapytała.

— Nie tak dalekie, co rok bowiem powracałem tylko do Szwajcaryi; ale mógłbym sobie życzyć, i w samej rzeczy życzyłem sobie bardzo często, ażeby mały ów świat nie dawał tyle sposobności do długiego niewidzenia się, jak to niestety bywa. Gdyby był mniejszym, pojmuje pani że wcześniéj bym spotkał moich towarzyszków podróży.

Piękna Margerita zarumieniła się i spojrzała nieznacznie w kierunku pani Dor.

— Znalazłeś nas wreszcie, panie Vendale; wkrótce jednak z oczów stracić nas znowu możesz.

— Nie spodziewam się tego. Dziwny zbieg okoliczności który mi panią odnaleźć pozwolił, każe mi się spodziewać że jéj już więcéj nie utracę.

— Cóż to za zbieg okoliczności? Objaśnij mi to pan, proszę.

Słowa te wymówione z pewnym odcieniem cudzoziemskiego akcentu, bardziej jeszcze zachwyciły Vendalę, gdy wtém spostrzegł znowu przelotne spojrzenie Margerity rzucone na panią Dor. Jakkolwiek tak szybkie, mieścić się jednak zdawało w sobie przestrożę; dlatego od téj chwili miał się zawsze na baczności w obec pani Dor.

— Zbieg ten okoliczności upatruję w tém, iż zostałem współnikiem domu handlowego w Londynie, któremu znów pan Obenreizer w tym samym dniu polecony został jako agent, przez dom handlowy w Neuchâtelu z którym pozostajemy w handlowych stosunkach. Czy nie powiedział tego pani?

— Ach! w saméj rzeczy—zawołał Obenreizer, mieszając się do rozmowy—nie mówiłem o tém miss Margericie. Świat jest tak mały i monotonne na nim życie, że niespodzianka tego rodzaju bardzo niekiedy bywa pożądaną. Jest tak w istocie, panno Obenreizer, jak ci pan Vendale powiedział. On, z tak pięknej familii i szlachetnie urodzony zgodził się zostać kupcem. Kupcem! tak jak my biedni w lepiankach zrodzeni wieśniacy.

Chmurka osiadła na piękném jéj czole i oczy w ziemię spuściła.

— Wypadek to wielkiéj dla handlu wagi—ciągnął daléj Obenreizer zapatrując się — wpływa na uszlachetnienie tego zająęcia. Jestto prawdziwém dla handlu nieszczęściem, że go się czepiają tacy tylko jak my biédni ludzie niższéj warstwy społeczeństwa. Posłuchaj tylko, kochany panie Vendale, mówił daléj z wielką w głosie energią: Ojciec miss Margerity a starszy mój brat przyrodni, który gdyby żył miałby więcéj lat aniżeli my oba razem, wywędrował z domu bez obuwia, bez nędznych prawie na grzbiecie łachmanów; włócząc się długi czas po wioskach i miasteczkach, przyjęty wreszcie został do jakiegós gospody w dolinie położonéj i żywiony wraz z psami i mułami. Powoli, stopniowo awansował na chłopca stajennego, do posług, następnie na lokaja, aż wreszcie został karczmarmem. Wtedy to wziął mnie do siebie, bo cóż mógł zrobić z drugim swoim bratem żebrakiem-idyotą lub z siostrą swą wiecznie przedzającym potworem, i umieścił na



naukę u sąsiada swego i przyjaciela zegarmistrza. Żona mego brata umarła wydając Margeritę na świat. I jakaż była ostatnia jego wola kiedy umierał zostawiając córkę w wieku przejściowym między wiekiem dziewczęcia a kobiety? Oto powiedział do mnie: „Zostawiam wszystko Margericie, przeznaczając ci tylko pewną sumę rocznie na utrzymanie. Jesteś młodym, a mimo to ustanawiam cię opiekunem méj córki, bo pochodzisz z najniższej i najuboższej klasy wieśniaczej, do której ja sam i jéj matka należeliśmy. wszyscy jesteśmy nędznymi chłopami tylko i pamiętajmy o tém zawsze! Takie same jest położenie większej części mych rodaków, zajmujących się handlem w londyńskiej dzielnicy Soho-square. Są to również nisko urodzeni i krwawo na chleb pracujący szwajcarscy chłopci. Jakże więc korzystném i zaszczytném jest dla handlu, kiedy go szlachta, biorąc w nim udział, wywyższa!” I przy tych słowach stając się nagle wesołym i żartobliwym lekko uściśnął łokcie młodego kupca.

— Ja się inaczej na to zapatruję—rzekła Margerita z rumieńcem na twarzy i wyzywającém nieledwie na gościa spojrzeniem. Sądzę że handel dostatecznie jest przez nas wieśniaków uszlachetniony i podniesiony, ażeby potrzebował koniecznie udziału w nim szlachty.

— Pfe! wstydz się miss Margerito—rzekł Obenreizer—mówisz z prawdziwie angielską dumą!

— Mówię z dumą prawdy—odrzekła zabierając się znowu do roboty—i nie jestem Angielką, lecz tylko córką szwajcarskiego chłopca.

W słowach jéj przebiegała się chęć zaniechania dalszej rozmowy w téj materji, a chęci téj Vendale sprzeciwić się nie śmiał. Rzekł tylko z powagą:

— Chętnie i najzupełniej zgadzam się na zdanie pani a nawet podobne mu zupełnie wygłosiłem niedawno, co i pan Obenreizer poświadczyć może.

Teraz oczy Vendala, śledząc od czasu do czasu pilnie panią Dor, zauważyły coś szczególnego w zachowaniu się obróconej do niego plecami damy.

Czyszczenie rękawiczek było pełną wyrazu pantomimą. Kiedy Vendale rozmawiał z Margeritą, powoli i lekko wy-

cięrała rękawiczkę a nawet zatrzymywała się nieraz jak ktoś co się przysłuchuje. Kiedy znów Obenreizer zakończył swoją apologię stanu wieśniaczego, trzecią poczęła rękawiczkę z całej siły, jak gdyby przyklasnąć mu chciała. Raz czy dwa razy, kiedy trzymając w górze rozpiętą na rękę rękawiczkę obróciła ją na drugą stronę, lub podnosiła jeden palec, schylając drugi, zdawało się Vendalowi, że widzi w tém telagraficzne jakieś znaki czynione Obenreizerowi, który co prawda, nieodwracał się nigdy tyłem, chociaż napozór nie-dawał na nie baczenia.

Vendale zauważył, że Margerita dwukrotnie przerywając wykład opacznych teoryj swego opiekuna, powstrzymać chciała oburzające jego postępowanie, jak gdyby miała wybuchnąć przeciwko niemu powstrzymywana tylko obawą. Zauważył także, co trudnem również nie było, że istniały w obejściu między wujem a siostrzenicą pewne granice których pierwszy nigdy nie przekraczał. Nie mówił o niej nigdy bez dodania tytułu: panny, i wyraz ten wymawiał z za-ledwie dostrzegalnym odcieniem ironii. Po raz pierwszy dopiero zdarzyło mu się określić to, co go w tym człowieku zaciekawiało, a z czego przedtém zdać sobie sprawy nie był w stanie; był to subtelny odcień ironii wymykającej z pod wszelkiego bliższego rozbioru. Przekonał się, że Margerita była co do swój własnej woli zupełną prawie niewolnicą i że aczkolwiek przeciwstawiała niekiedy swoją wolę dwom innym nieprzyjaznym jój i skombinowanym, pomimo silnego charakteru wyswobodzić się nie była w stanie. Że był o tém przekonany, nie znaczyło to aby mniej jak dawniej skłonny był do jój ukochania. Słowem, zakochany w niej był po uszy i stanowczo zdecydowany nieopuszczać sposobności, która mu się przedstawiała nareszcie.

Jak nateraz napoinknął tylko o przyjemności jaką wkrótce mieć będzie Wilding i S-ka, prosząc pannę Obenreizer aby obecnością zaszczycić zechciała stary i po kawalersku urządzony dom w Cripple Corner; w taki sposób nie przedłużał swój wizyty nad czas zwyczajem przyjęty.

Zszedłszy po wschodach, prowadzony przez gospodarza, znalazł się w jego kantorze; tu czekało kilku ludzi obszarpanych w cudzoziemskich ubiorach, których Obenreizer, to-

rując drogę, usunął na bok przemówiwszy do nich słów kilka w ludowém francuzkiém narzeczu.

— Są to moi rodacy tłumaczył—odprowadzając Vendala do drzwi. Biédni rodacy! wdzięczni i przywiązani jak psy. Zegnaj panu i dowidzenia. Dwa nowe uściśnienia łokci przeprowadziły go na ulicę.

Słodka postać Margerity przy krosienkach i szerokie barki pani Dor dającéj telegraficzne znaki, przesuwwały mu się przed oczyma bezustanku i towarzyszyły przez całą drogę do Cripple Corner. Zastawszy Wildinga zamkniętego w gabinecie na tajemnej naradzie z Bintreyem a widząc drzwi do piwnicy otwarte, zapalił świecę zatknietą w rozszczepanym kiju i zeszedł aby obejrzeć ciemne i rozległe lochy. Wdzięczna postać Margerity przytomną była ciągle oczom jego duszy, ale o szerokich barkach pani Dor zapomniął jak najzupełniéj.

Podziemia były obszerne bardzo i starożytne; z głazów murowane sklepienia pamiętały zapewne czasy, w których przeszłość nie była jeszcze przeszłością: jedni widzieli w nich szczątki klasztoru, drudzy kaplicy; inni wreszcie szczątki pogańskiej świątnicy. Teraz mogło to być i tém i owém; każdy upatrywać w nich może według upodobania śladów rozsypanego w gruzy filaru lub pięknego łuku. Lata zrobiły z tego co *im* się zrobić podobało, i obojętnemi zostały na wszystkie archeologów spory.

Ścieśnione powietrze przesycone wonią stęchlizny i ogłuszający turkot dochodzący z ciągnącej się po nad piwnicami ulicy, wszystko to jako wychodzące z rutyny zwyczajnego życia harmonizowało w duszy Vendala z obrazem pięknej Margerity stojącej samotnie naprzeciw dwojga ludzi. W marzeniach takich pogrążony, błąkał się Vendale dopóki na skřęcie korytarza nie ujrzał takiej jaką sam niósł pochodni.

— Czy to ty jesteś Józefie? — zapytał.

— Jaby'm się prędzéj miał prawo zapytać: Czy to *wy* tu jesteście, panie Jerzy? Moja to bowiem rzecz znajdować się tu, ale nie pańska.

— Nie mruczno tylko, Józefie.

— Oh! panie, nie ja to mruczę — odrzekł piwniczny. Jeżeli co mruczy, to tylko to com wciągnął w siebie porami,



ale nie ja sam. Strzeż się panie Jerzy, aby i w tobie co mruczyć nie zaczęło. Pobądź tu dłużej nieco aby wyziewy winne działać zaczęły, a zobaczysz co z ciebie zrobią.

Zajęcie Józefa Ladle polegało na wsadzaniu nosa do każdej z kolei kadzi, wymierzaniu jęj objętości, obliczeniach i zapisywaniu tego wszystkiego do notatek z grubego i chropowatego papieru złożonych.

— Zobaczysz pan co z ciebie zrobią—ciągnął dalej, kładąc w poprzek dwóch beczek drewniany pręt, którym się przy mierzeniu posługiwał, zapisując ostatnie swoje obliczenia i prostując grzbiet pochylony. Zostań wśród tych wyziewów a przekonasz się że ci dadzą radę. Tak więc formalnie już wszedłeś do naszej wspólki, panie Jerzy?

— Najformalniej. Spodziewam się że nic przeciwko temu mieć nie będziesz Józefie.

— Ja nie zupełnie. Ale wyziewy winne sprzeciwiać się temu będą, bo za młody jesteś pan jeszcze do ich zniesienia. Obydwaj jesteście za młodzi.

— Zarzut ten z dniem każdym siłę swą tracić będzie, kochany Józefie.

— Tak panie Jerzy, ale i ja z dniem każdym starzeć się będę i nie wiem czy doczekam pańskiej poprawy.

To zręczne odezwanie się tak polectało miłość własną Józefa Ladle, że roześmiał się chrapliwym głosem i powtórzył to raz jeszcze po wydaniu drugiej edycji dowcipnego wyrażenia: „doczekam pańskiej poprawy”.

— Ale z czego się śmiać niemożna, panie Jerzy, to z tego, że młody pryncypał Wilding pozbył się szczęścia, zmienił je. Zważ pan na moje słowa; porzucił dawne szczęście a szuka nowego. *Ja* nie spędziłem tu na próżno całego życia. *Ja* na mocy obserwacji które tu robię, odgaduję kiedy ma deszcz padać, kiedy ma przestać, kiedy się wichur zerwie a kiedy uspokoi. *Ja* równie dobrze poznaję kiedy się szczęście zmieniło.

— Czy porosty te na sklepieniach mają jaki związek z twemi wróżbami?—zapytał Vendale podnosząc świecę ku posępnej i nierównej massie ciemnej barwy grzybów, zwieszających się odrażająco po filarach.

— Wszak słyną nasze piwnice z tych grzybów, nieprawdaż Józefie?

— Prawda panie Jerzy — rzekł Józef Ladle odsuwając się o parę kroków — a jeżeli usłuchać chcesz méj rady zostaw je w spokoju.

Vendale schwycił pręt drewniany leżący na beczkach i lekko poruszając nim słabo do sklepienia przyrośnięte grzyby, zapytał: — Czy tak rzeczywiście? I dlaczego?

— Nie dlatego że powstają z wilgoci przez wino wydzielanej i mogę panu dać poznać czém jest nasiąknięty piwniczy, zmuszony wszystkie dni swego żywota oddychać podobną téj atmosferą; nie tyle dlatego, że w pewnej epoce swego wzrostu grzyby te pełne są robactwa i że możesz pan sobie przysmak ten na głowę strącić — odparł Józef Ladle stojąc zawsze zdaleka — jest tego inna wcale przyczyna.

— I jakaż to przyczyna?

— Na pańskim będąc miejscu wolałbym się tego nie dotykać. Powiem ją panu skoro z tego miejsca wyjdziemy. A najprzód, spojrzysz panie Jerzy na barwę porostów.

— Patrzę właśnie.

— Dostyc; a teraz wychodźmy.

Ruszył przodem ze świecą a Jerzy poszedł za nim. Tak idąc po pod arkadami rzucił na Józefa pytające spojrzenie. Cóż więc ma znaczyć ta barwa?

— Nie jestże ona do skrzepłej krwi podobną, panie Jerzy?

— Być może że i trochę podobna.

— A ja myślę że więcej niż trochę podobna — mruknął Józef Ladle, uroczyście wstrząsając głową.

— Dobrze wreszcie, niech sobie będzie podobną, zupełnie podobną. I cóż z tego?

— Mówią, panie Jerzy.....

— Ale kto?

— Jakże ja wiedzieć mogę kto? — odparł piwniczy zniecierpliwiony widocznie tak nierozsądném pytaniem. Ludzie, no! ludzie tak się bowiem wyrażają wszyscy opowiadając coś, wszak pan to rozumiesz? Jakże wiedzieć mogę kto to mówił, kto to mówił, jeśli pan sam tego nie wiesz?

— No, no prawda; mów dalej.

— Otóż mówię, że człowiek któremu spadnie na piersi gałązka takiego porostu, zginie niezawodnie z ręki zabójcy.

Kiedy się Vendale śmiejąc zatrzymał na chwilę aby zajrzeć w oczy piwniczemu, który przez cały ciąg opowiadania trzymał nieruchomo wlepione oczy w światło pochodni, uczuł że ciężka jakaś ręka dotknęła się jego piersi. Idąc wzrokiem za ruchem téj ręki, która była ręką jego towarzysza, spostrzegł, że zdejmuje mu z piersi kawał grzybiastej tkanki.

Przez chwilę popatrzyli na siebie pełnym przestachu wzrokiem; lecz w krótkce doszli do stóp wschodów, gdzie ichienne otoczyło światło i Jerzy wszedł na nie wesoło zdmuchnąwszy przedtém świecę a wraz z nią i przesąd.

(Dalszy ciąg nastąpi).

